

GŁOS

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie Rs. 7 kop. —
Półrocznie „ 3 „ 50
Kwartalnie „ 1 „ 75
Miesięcznie „ — „ 60

Za odnośzenie do domu
dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-
meru bez dodatku k. 20.

Prenumerata na Prowincyi
i w Cesarstwie:

Rocznie Rs. 9 kop. —
Półrocznie „ 4 „ 50
Kwartalnie „ 2 „ 25

Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld.—18 m.
Półrocznie . 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
tor Redakcyi po kop. 10 z-
wiersz petytowy lub za jea-
go miejsce. Reklamy po
kop. 25.

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
BRACKA Nr. 25.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
zeszyt dzieł naukowych.

CRESC: Pierwszy krok, przez P.

Ze stosunków społecznych Australii, przez Adolfa Warsa.

Z dziedziny etnografii, przez J. L. Popławskiego.

W sprawie słownictwa naukowego, przez d-ra A. Za-
lewskiego.

Sprawozdania naukowe i literackie, przez A. P. Or-
dyńskiego.

Głosy: Prawo o ubezpieczeniu robotników.—Kasy oszczędno-
ściowe rzemieślnicze.—Pobył księdza Chełmickiego w San-
Paolo.—Wystawy urządzone przez Tow. wyścigów konnych.—

Emigracja żydów do Palestyny.—Emancypacja chłopstwa.

Z obcego świata, przez J. H. Siemienieckiego.

Korespondencja: z Wilna, przez Samego.

Przegląd społeczny: Łódź, Radom, Wilno, Kijów, Z gub.
chersońskiej, Z pow. taraszczańskiego, Petersburg, Kraków,
Lwów.

Przegląd polityczny.

Kronika powszechna.

Odpowiedzi od redakcyi.

Ogłoszenia.

Odcinek: Sifaczka, nowella, przez Stefana Żeromskiego.

(Ciąg dalszy).

W dodatku: Z zakutego grodu, przez Kazimierza Gliń-
skiego. (Dokończenie).

Pierwszy krok.

Kiedy dzisiejszy gabinet francuzki obejmował ster władzy, główny kierownik jego, Constans oświadczył, że będzie to ministerjum reform społecznych. Do oświadczenia tego nie przywiązywano żadnej wagi, uważając je za manewr tylko w walce z bulanżyzmem. Jakoż przez czas dość długi o żadnej inicjatywie rządu w sprawie reform społecznych nie było słyhać. Teraz dopiero, odrazu, bez widocznych przygotowań występuje ono z nader doniosłym projektem zabezpieczenia robotnikom na starość pensyj dożywotnich. Nie będziemy tu roztrząsać, jakie okoliczności zniewoliły rząd francuzki do postawienia tej sprawy na porządku dziennym. Można zgodzić się ze zdaniem, które wypowiedział mieszczkański *Temps*, że jak protekcyjoniizm rolny jest poddaniem się woli wyborcy-chłopa, tak opieka nad pracownikami jest ustępstwem rządu wobec wymagań wyborców-robotników. Rzeczpospolita mieszczkańska, przyjąwszy prawo głosowania powszechnego i zasadę wszechwładztwa ludu, musi się coraz bardziej demokratyzować. Liberalizm francuzki w sprawie reform społecznych był nader opornym, dosyć powiedzieć, że co się tyczy prawodawstwa fabrycznego prawie wszystkie inne państwa wyprzedziły Francję. Dzisiaj nawet, ustępując prądom chwili, mieszczkaństwo łudzi się zwodniczą marą socjalizmu liberalnego w przeciwstawieniu do socjalizmu autorytarnego

państwowego, którego lęka się gorzej niż dy-
jabek wody święconej.

Tymczasem właśnie we Francyi, gdzie się władza państwowa, bez względu na formę rządu, posiada zawsze wpływ wielki—głównie wskutek centralizacyi i braku instytucyj samorządu—inicyjatywa w sprawie reform społecznych iść musi zgóry.

Dotychczas nie ma szczegółów o projekcie rządowym, wiadome są tylko główne jego zasady o czem przed tygodniem pisaliśmy.

Dzienniki francuzkie, nawet wybitnie mieszczkańskie, z odcieniem dumy narodowej zaznaczają, że projekt Constansa wyżej stoi od odnośnej ustawy niemieckiej. Istotnie, w Niemczech robotnik dopiero w 70 roku życia, kiedy jest już zgrzybiałym starcem otrzymuje emeryturę w skromnej kwocie od 120 do 180 marek rocznie. Tymczasem we Francyi, już w 56-ym roku życia, kiedy może jeszcze pracować, robotnik dostanie co najmniej 300 franków, t. j. prawie o połowę więcej aniżeli kolega jego z za Renu. A emerytura dojść może do 600 franków, co już zapewnia skromne, ale całkowite utrzymanie. Natomiast w Niemczech emeryturę dostają robotnicy wszelkich kategorii, nie wyłączając robotników rolnych, we Francyi zaś tylko fabryczni. Więc też w Niemczech rachują około 11 milionów kandydatów do emerytury, kiedy projekt rządowy francuzki przewiduje zaledwie połowę tej liczby. Nie ma kwestyi jednak, że jeżeli pierwszy krok będzie postawiony, wkrótce wypadnie iść dalej. Izba przyjęła projekt przychylnie i zagłosowała nagłość wniosku olbrzymią większością. Jak się okazuje, zachowawcy skrajni, zwłaszcza ultramontanie głosowali za projektem. Znany publicysta zachowawczy, Saint Genest gromi za to w *Figarze* lekkomyślnych arystokratów, twierdząc, że igrają niebacznie z socjalizmem, jak przodkowie ich przy końcu XVIII wieku igrali z liberalizmem, i przepowiada, że taki sam los spotkać ich może. Strwożeni mieszczkanie cieszą się nadzieją, że senat, jeżeli nie odrzuci projektu, to go okroi, zdaje się jednak, że nadzieja ta okaże się zawodną i senat, jak zawsze, ustąpi, niechcąc narażać bytu instytucyi, która ma wielu przeciwników. Opozycja w takiej drażliwej sprawie bezwątpienia zachwiać by mogła istnienie senatu.

Przedstawiciele stronnictw robotniczych nie dowierzają projektowi, a raczej Constansowi, który nie używa popularności. Zresztą we Francyi nienawiści stronnice, a nawet osobiste zawsze tak ostro występują w prasie

i w przemówieniach publicznych, że o istotnym nastroju ze źródeł tych nie można czerpać informacji. Zasluguje na uwagę fakt, że dziś już występują żądania rozszerzenia zakresu nowego prawa do wszystkich pracujących przy transportach, oficjalistów prywatnych, subjektów handlowych i t. d. Istotnie, ludzie ci pracują nieraz jeżeli nie ciężiej, to dłużej, i są zazwyczaj gorzej wynagradzani, aniżeli robotnicy fabryczni we Francyi.

Jeżeli projekt francuzki był prawdziwą niespodzianką, to tymbardziej powiedzieć to trzeba o ruchu, jaki jednocześnie zaczął się w Anglii a dąży również do zapewnienia emerytur robotnikom. Podobno Chamberlain, niegdyś radykał czystej wody a obecnie t. zw. unionista, ruch ten gorąco popiera. Badania statystyczne stwierdziły, że w Anglii 15% ludzi 60-letnich, a około 33%, t. j. 1/3—70-letnich musi szukać przytułku w domach dla ubogich lub żyć z jałmużny. Rząd angielski w zasadzie zgadza się na zabezpieczenie starości robotników i wyznaczyć ma komisję, która wespół z przedstawicielami instytucyj dobroczynnych zajmie się zbadaniem tej sprawy.

Słowem, początek, jaki w tej sprawie zrobiły Niemcy, wywołuje naśladownictwo w dwóch najbardziej przemysłowych państwach Europy zachodniej, Krytykowano surowo projekt niemiecki, bo istotnie posiada on mnóstwo stron słabych, w każdym razie myśl sama zabezpieczenia w ten sposób starości robotników okazała się płodną. Projekt francuzki opiera się właściwie na tych samych zasadach, jest wszakże znacznie ulepszonym.

We wszystkich państwach Europy, nawet nie bardzo pod względem przemysłowym rozwiniętych, widzimy w ciągu ostatnich kilkunastu lat znaczny ruch w dziedzinie prawodawstwa fabrycznego, które stopniowo rozszerza się i uzupełnia. Działalność w tym kierunku postępuje, bez względu na zmiany w polityce wewnętrznej różnych państw. Dodać trzeba, że reformy, w tem lub owem państwie dokonane, prędzej czy później, ale w każdym razie dosyć szybko znajdują zastosowanie w innych krajach. Fakt ten zaznaczono podczas obrad na konferencji berlińskiej, jako argument na rzecz możliwości i konieczności prawodawstwa międzynarodowego. Należy się więc spodziewać, że i sprawa zabezpieczenia starości robotników w formie wypłacania im pensyj dożywotnich wejdzie również na porządek dzienny wszędzie, gdzie istnieje prawodawstwo fabryczne, lub gdzie, jak np. w Belgii, stosunki robotnicze wykazują po-

trzebę reform szybkich i stanowczych. Może się zdarzyć tylko, że względy finansowe tu i owdzie powstrzymają urzeczywistnienie tej reformy, a raczej spowodują odroczenie jej na czas dłuższy.

P.

Ze stosunków społecznych Australii.

III.

Jaka jest polityka *Trades Union'ów* australijskich? W odpowiedzi na to pytanie, przyjrzyjmy się ruchowi, o ile wyraził się on w bezpośredniej formie walki pracy z kapitałem i w formie rozpraw, mów i uchwał kongresów interkolonialnych, które uwarunkowały sobą kierunek agitacji politycznej w Australii. Odrazu tedy staniemy wobec praktycznych zadań ruchu, prowadzonego z takim pojmowaniem położenia rzeczy i z taką konsekwencją, że zaledwie dorównać mu może niemiecka demokracja, przodująca innym podobnym sobie partynom europejskim trzeźwością rozumowania i umiejętnym, praktycznym prowadzeniem sprawy.

Już z poprzednich artykułów mogli się przekonać czytelnicy nasi, że jednym z najwskazywanych zadań najemników australijskich było skrócenie czasu pracy i podwyższenie lonu. Prawodawstwo fabryczne, regulujące pracę kobiet, dzieci i niepełnoletnich, 8-godzinny dzień, Akt Chiński, zniesienie systemu, wspierającego imigrację — wszystko to są skutki ruchu, w zasadzie którego leżała chęć ograniczenia rynku pracy.

Dzięki specjalnym warunkom, których nie będziemy tu poruszać, udaje się organizacjom australijskim, przynajmniej dotychczas, środkiem powyższym utrzymywać dobrobyt robotników na pożądanym poziomie...

Skutki takiego stanowiska są nadzwyczaj ważne pod wielu względami. Przedewszystkiem, pchają one organizację australijskich najemników, w sposób niunikniony, na drogę ruchu politycznego. Dr. Ruhland z nietajonym zadowoleniem charakteryzuje ruch w Australii jako daleki od celów społecznej demo-

kracyi. Wyciągnął on podobny wniosek na zasadzie niektórych mów i debatów, jakie miały miejsce na posiedzeniach kongresów interkolonialnych. Czy jednak zdania przewodców mogą stanowić probierz, dla osądzenia historycznej treści ruchu? Frazesy mogą być złudne, jak te, które w formie hasła wstrząsały umysłami końca XVIII wieku. Badacz zaś, pragnący przewidzieć skutki danego ruchu, musi się liczyć jedynie z konkretnymi jego objawami społecznymi...

Stanowisko *Trades Union'ów* australijskich pcha właśnie Australię do coraz wyższego rozwoju jej społecznych form przemysłowych. Niepraktykowane jeszcze nigdzie skrócenie czasu pracy i znaczny udział robotników w bogactwie i dochodach społecznych są najpierwszą przyczyną tego faktu. Jak dalece zaś świadomości są *Trades Unions* konsekwencji swego stanowiska, widzieć możemy z tego, że domagają się one prawnego zakazu dla wszelkich takich przestarzałych form produkcji, które zastąpione być mogą przez nowe, doskonalsze formy.

W 1884 r. odegrywało w Wiktorii wielką rolę niezadowolone szewców, którzy zawiesili pracę, żądając zniesienia t. zw. „*Sweating System*”¹⁾. Była to pierwsza groźba, wymierzona przeciw nowej formie wycisku kapitalistycznego, przybierającego postać „przemysłu domowego”; przyłączyły się do tej groźby wszystkie związki kolonialne, wspierając obficie niezadowolonych czeladników szewskich środkami pieniężnymi w ciągu 13 tygodni. To żądanie zniesienia przemysłu drobnego, za pomocą którego przedsiębiorcy chcą się zwolnić z pod rygoru prawodawstwa i wpływu związków — jest najzupełniejszą konsekwencją praktycznego stanowiska *Tr. Union'ów*. Ograniczenie czasu pracy stanowi dla nich jeden z najgłówniejszych warunków ograniczenia rynku pracy. Pod tym względem dążenie ich nie skończyło się bynajmniej na 8-godzinny dzień. Czas pracy musi być, według ich programu, jeszcze bardziej skrócony. Widzieli-

¹⁾ Dosłownie — „system potnienia”, dosadne wyrażenie, rozpowszechnione w Anglii, oznaczające ciężką pracę w przemyśle drobnym, wycieńczającą siłę roboczą. Spotykamy ją często w Warszawie, u naszych np. szewców, pracujących w suterynach do północy, nieraz nawet dłużej.

śmy już, że w niektórych gałęziach przemysłu pracują robotnicy nie 48, lecz 45 godzin tygodniowo. Tymbardziej zaś nie mogą *Trades Unions* australijskie pozwolić na przedłużenie czasu pracy, co ma najczęściej miejsce w t. zw. przemyśle domowym. Wreszcie, drobny przemysł ogranicza w znacznym stopniu działalność inspekcji fabrycznej, która nie może tu kontrolować warunków pracy tak łatwo, jak w większych zakładach przemysłowych.

Pod względem politycznym głównym celem związków jest opanowanie maszyny państwowej, przedewszystkiem zaś uzyskanie wpływu politycznego; sądzą bowiem, że tylko tą drogą zdołają utrwalić zdobycze dotychczasowe i posiadać odpowiedzialną siłę dla ochrony interesów klasy robotniczej. Temu dążeniu sprzyjają w zupełności stosunki dalekiego kontynentu.

Początek kultury datuje się tam zaledwie od 20—40 lat, stronnictwa polityczne: konserwatywne i liberalne — nie zdążyły sobie wyrobić jeszcze wpływu tradycyi, robotnicy tedy mają przed sobą wszelkie szanse powodzenia. Już teraz wielu robotników dobiło się tam stanowisk ministerjalnych. Dotychczas jednak klasa pracująca nie miała bezpośredniego przedstawicielstwa w parlamencie. Dawniej, gdy deputowani do parlamentu nie otrzymywali od rządu pensyi, wyrobił się zwyczaj opłacania ich z rocznych składek wyborców. Stosunki takie przedstawiały wiele niedogodności. Jakkolwiek robotnicy wysyłali już wtedy swoich przedstawicieli do parlamentu, to jednak z powodu znacznych kosztów, jakie to pociągało za sobą, nie mogli tego robić na szerszą skalę. Teraz jednak rząd wpłaca deputowanym pensję roczną 6,000 marek, na skutek agitacji, energicznie podjętej przez *unions*. Partya liberalna poparła pod tym względem robotników przeciwko konserwatom — i we wszystkich koloniach zaprowadzony został ten nowy porządek rzeczy. Był to pierwszy krok w celu osiągnięcia bezpośredniego przedstawicielstwa robotników przez robotników. Wkrótce potem uzyskano nowe ulgi dla wyborców, jak np. przedłużenie czasu trwania wyborów, tak, aby robotnicy po skończonej pracy mogli jeszcze głosować. Umożliwiono również marynarzom przyjmowanie udziału w wyborach.

Rosnący w kilku ostatnich latach wpływ *Trades unionów* na bieg polityki państwowej umożliwił im przedsięwzięcie dalszego ciągu środków w celu uniknięcia przepelnienia rynku

SILACZKA

NOWELLA

przez Stefana Żeromskiego.

(Dalszy ciąg).

Dr. Obarecki wiedział aż nadto dobrze, dla czego farmaceuta dysputami destrukcyjnymi rozbija ks. proboszcza, przeczuwał, że są to preludya do zbliżenia się, zaprzyjaźnienia na mocy jedności poglądów... Przeczuwał, że odwiedzi go kiedykolwiek, będzie, zdaleka zachodząc, wskazywał umiejętnie na brak kapitału, źródło „stagnacji”, a zniżywszy loty do spraw obrzydliwych, wykaże ileby oni dwaj, trzymając się za ręce, korzyści społeczeństwu przynieśli — jeden pisaniem recept na łokcie, drugi eksploataowaniem sytuacji... Kto wie — może zaproponuje szczerze i otwarcie, „nóżki kładąc na stół”, założenie czysto wekslowej spółki, celem której będzie wspólne maszerowanie w tonie gnojówki. Przeczuwał także doktor, że nie będzie miał siły do zakończenia propozycji aptekarsowych nakreśnianiem mu zlekką kości policzkowej, ponieważ nie wiedzieć w imię czego kość tę nakreślać... Przepuszczał nawet, że spółka ta stanie, — któż wie... Gorycz zalała mu serce. Co się stało, jakim sposobem aż dotąd doszedł, dla czego nie wyrwa się z tego błota, czemu jest leniuchem, marzycielem, refleksjonistą, psowaczem własnych myśli, karykaturą wstrętną samego siebie?...

I zaczęło się, podczas wpatrywania się w okno, nadzwyczajnie szczegółowe, pilne, badawcze, bezlitośne i subtelne oglądanie własnej bezsilności. Śnieg padał wielkimi pla-

tkami, przesłaniając smutny krajobraz zimo wy mgłą i zmrokiem.

Chimeryczną a bezpłodną gonitwę myśli przerwały nagle wykrzykniki gospodyni, usiłującej przekonać kogoś, że doktora w domu niema. Doktor jednak wyszedł do kuchni, aby rozerwać pasmo męczących go myśli.

Ogromny chłop w żółtym kozuchu zmiótł „wścieklą czapą” pył z pod jego nóg w głębokim poklonie, odgarnął pięścią włosy z czoła, wyprostował się i zamierzał rozpocząć orację.

— Czego? — zapytał doktor.

— A to, wielmożny doktorze, sołtys mię tu przysłał...

— Po co?

— A po wielmożnego doktora.

— Kto chory?

— Nauczycielka ta u nas we wsi zachorowała, sparło ją cośi. Przyszedł sołtys — jedźcie, pada, Ignacy, do Obrzydłówna po wielmożnego doktora, może, pada...

— Pojadę. Konie dobre?

— A konie ta, — jak konie: śwarne gady.

Podobała się doktorowi myśl jazdy, zmęczenia się, choćby niebezpieczeństwa. Wdział z nagłym ożywieniem grube buty, kozuszek, futro, którym możnaby było otulić wiatrak, pasem się opasał i wyszedł przed dom. „Gady” chłopskie nie wielkie były, ale okrągłe, wypasione, — wasąg olbrzymi na saniach, słomą wyładowany i okryty kilimkiem. Zanurzył się w słomę, otulił, — chłop przysiadł bokiem na przednim siedzeniu, odmotał parciane lejce z kłonicy, konie zaciął — pomknęli.

— Daleko to? — zagadnął doktor.

— Będzie to może ze trzy mile, może niema...

— Nie zbłądzisz?

Chłop obejrzał się z uśmiechem ironicznym:

— Któż — ja?

Wiatr dął w polu przejmujący; niekute, ukośne, ledwa ociosane siekierą sanice wrzynały się w głęboki, świeżo spadły śnieg, odwracając na bok białe jego skiby. Drogę zaniósł.

Chłop „wścieklą czapę” na bok przechylił i zaczął konie. Doktor czuł się dobrze. Między lasek, który zdawał się tonąć w śniegu, wyjechali na pusty, bezludny przestwór, oprawny w ramy lasu, ledwie widocznego na krańcu widnokregu. Zmrok zapadał, powlekając ten nagi i surowy obraz pustkowi niebieskawym kolorytem, który ciemniał nad lasem. Grudki zbitego śniegu, wyrzucane kopytami koni, przelatwały koło uszu doktora. Nie wiedzieć czemu chciało mu się stanąć na saniach i wołać po chłopsku, z całych sił, w ten głuchy, niemy, nieskończony przestwór, urzekający ogromem, jak przepaść. Nachylała się szybko noc dzika i ponura, noc pół niezamieszkaną.

Wiatr się wzmógł, dął jednostajnie z hukiem, przechodzącym od czasu do czasu w głuche *largo*; śnieg zaciął z boku.

— Strzeżcie drogi, gospodarzu, bo może być źle, — zauważył doktor, kryjąc nos w futro.

— A no — maluśkie! — wrzasnął chłop na konie zamiast odpowiedzi.

Głos ten ledwo już można było dosłyszeć w wicherze. Konie pobiegły w cwał.

Zamieć rozszalała się nagle. Bałwanami miotać się począł wicher, uderzał w sanie, skowycał między sanicami, tłumił oddech. Słychać było parskanie koni, lecz ani ich, ani furmana doktor już nie mógł dostrzedz. Kłęby śniegu, zdzierane z ziemi przez wiatr, leciały, jak stado koni, i słychać było niby tentent ich tytanicznych skoków, — chwilami wierało się z ziemi piekło huku i szła ta melodyja uderzać wszystką potęgą tonów w chmu-

Z dziedziny etnografii.

II.

Biblioteka Wisły. T. I i II. M. Federowski: *Lud okolic Żarek, Siewierza i Pilioty*; T. III i VI. S. Chełchowski: *Powieści i opowiadania ludowe z okolic Przasnysza*. T. IV. Z. Wasilewski: *Jagodne*, zarys etnograficzny. T. V. R. Zawiliński: *Z powieści i pieśni Górali Beskidowych*, T. VII. M. Udziela: *Medycyna i przesady lecznicze ludu polskiego*. T. VIII. Kazimira Skrzyńska: *Kobieta w pieśni ludowej*.

Oprócz kwartalnika *Wisły* wychodzi jeszcze w małych tomikach *Biblioteka Wisły*. Jak wiadać z przytoczonych wyżej tytułów 8 wydrukowanych dotychczas tomów, wydawnictwo to nie ma wyraźnie odgraniczonego zakresu. Obok zbioru materiałów etnograficznych (prace Chełchowskiego i Zawilińskiego), mamy monografie oddzielnych miejscowości lub okolic (Wasilewski i Federowski), a nawet opracowania czy próby opracowań oddzielnych kwestyj z dziedziny etnografii polskiej—*Medycyna i przesady lecznicze*, oraz *Kobieta w pieśni ludowej*. Te dwie ostatnie prace, ze względu na treść, nadają się zupełnie do pomieszczenia w teście pisma. Powiedziałbym to samo o pracach p. Wasilewskiego i Federowskiego, gdyby nie to, że są, zwłaszcza druga, zbyt obszerne. Choćby jeżeli p. Gloger przez rok czy nawet przez dwa lata tłukł się po falach Bugu, opowiadając obszernie, gdzie co jadł i pił, jak spał i t. d. to nie widzę racy, dla czego by p. Wasilewski nie miał oprowadzać czytelnika po zapadłej w lasach wiosce łukowskiej, a p. Federowski—po malowniczych okolicach Żarek i Siewierza.

Ma się rozumieć, nie twierdząc, że wszystkie te prace, ze względu na ich wartość, która jest rozmaita, nadawały się do pisma, ależ i w *Bibliotece* wybór powinien być równie ścisły.

Jedno z dwojga: albo *Biblioteka* powinna być tylko zbiorem materiałów mniej lub więcej opracowanych, czy raczej uporządkowanych, albo jeżeli ma drukować w ogóle prace większe, to należy takowe usuwać z łamów pisma, w którym pozostaną w takim razie jedynie sprawozdania, referaty, wskazówki do poszukiwań naukowych, drobne rozprawki i t. p.

Nie mogę oceniać szczegółowo tak obszerne go materiału, jaki przedstawia *Biblioteka „Wisły”*, zatrzymam się więc dłużej tylko nad o-

statnią pracą, wspominając pobieżnie o poprzednich.

Nie powiem, żeby dwutomowa praca p. Federowskiego dobrze zarekomendowała młodą *Bibliotekę*. Dzieło to zawiera niewątpliwie sporo ciekawych materiałów, autor pracował, jak umiał i starał się gorliwie zebrać wszystko, co w danej okolicy ciekawego znalazł, ale o badaniach naukowych w zakresie etnografii słabe bardzo ma pojęcie, a nawet nie posiada kwalifikacji na zbieracza, bo nie zapisuje wernie, w dodatku zaś nieraz wyraża się bardzo niejasno lub nieściśle, tak, że niepodobna dojść, o co mu chodzi.

Dla scharakteryzowania wiedzy etnograficznej p. Federowskiego wystarczy podany niżej ustęp z rozdziału p. t. *Dumy* (?) i *pieśni* (T. I str. 177).

„Jako jeden obyczaj i podanie, jako jedne obrzędy i zwyczaje, tak też jedna i ta sama *pieśń* wspólna jest wszystkim naszym *rodom* (?), które od wieków osiadły nad Bugiem, Niemnem, Berezyną, Dnieprem, Dniestrem, Wisłą, Pilicą i Wartą, a dziwić się nie ma czemu, bo prastary obyczaj zrodził wspólne uczucie, a to uczucie stworzyło *pieśń*, która, niebacząc na *gwary* (?), tak samo brzmi nad skromną Wartą, jako i nad wspaniałym Dnieprem”.

O jakich „naszych rodach” tutaj mowa? Jeżeli o słowiańskich, to należało dodać nad Wełtawą, Wołgą, Dunajem, Sawą i t. d., jeżeli zaś o polskich—to nie ma ich nad Berezyną, Dnieprem a tymbardziej nad Niemnem. Mieszkała tam, używając terminologii p. Federowskiego, „rody” mało i biało-ruskie, oraz litewskie, te zaś ostatnie nie należą nawet, przynajmniej z języka, do szczepu słowiańskiego. Mowy ich—to nie „gwary”, ale języki zupełnie samodzielne.

W motywach *pieśni* i podań, a nawet w ich formie istnieją niewątpliwie podobieństwa bardzo wyraźne, świadczące o pokrewieństwie plemiennem, ale trudno powiedzieć, że *pieśni* małopolskie podobniejsze są do polskich, aniżeli np. czeskie, słowackie, lub łużyckie. P. Federowskiego, który wychował się zapewne nad Niemnem lub Berezyną, uderzyły te podobieństwa i doprowadziły do takiego niedorzecznego wniosku, ale niepodobna zrozumieć dla czego redakcja *Wisły*, pisma, poświęconego etnografii, przepuściła taką niedorzeczność, nie dodając do niej nawet przypisku.

Wogóle p. Federowski jest zbieraczem „sta-

pracy. Jednym z tych środków jest popieranie polityki celnej państwa. Pod tym względem ruch australijski przedstawia rys oryginalny. Wszędzie indziej wobec walki protekcyjnistów z wolnohandlowcami robotnicy zachowują się obojętnie, albo nawet przechylają się na stronę wolnohandlowców. W Australii przeciwnie. Gdy przemysł złota został wyczerpane i rynkowi pracy groziło przepięnienie, robotnicy wszystkich kolonii przyjęli energiczny udział w agitacji na korzyść cel ochronnych—zresztą, umiarkowanych, w celu większego rozbudzenia ruchu przemysłowego i zwiększenia popytu na pracę.

Jeżeli przedsiębiorca ogłasza swym robotnikom, że z powodu słabego ruchu przemysłowego nie jest w stanie udzielać im zwykłej wysokiej płacy, wówczas ostatni pracują tylko 2—3 dni tygodniowo, byle nie pozwolić na zmniejszenie lonu dziennego. Zwyczaj ten rozpowszechnił się oczywiście pod wpływem silnego, powszechnego dążenia do utrzymania płacy na jaknajwyższym poziomie. Jest to, rozumie się, możliwym tylko dla robotników zorganizowanych, którym związki udzielają rady i wsparcia. Również, aby uniknąć przepięnienia rynku pracy, domagają się *Union’y*, żeby państwo dawało zajęcie robotnikom, nie mogącym znaleźć żadnej innej pracy. Wypadki takie miały miejsce już w Nowej Zelandyi i nowo-południowej Walii. W ostatniej państwo zatrudniało w ciągu 3 lat 3—4,000 robotników, znajdujących się bez zajęcia, płacąc za 8 godzinny dzień po 5 marek, t. j. co najmniej o 2 marki mniej, niż powszechnie płaci się za najprostszą pracę. *Union’y* podniosły tedy agitację na korzyść podwyżki dla robotników, zatrudnionych przez państwo, bojąc się, aby tak niska norma płacy nie odbiła się na płacy innych robotników.

Dla osiągnięcia wpływu politycznego, nieodwrotnie potrzebną jest ścisła organizacja sił i ich scentralizowanie. To też głównym punktem działalności *Union’ów* w ostatnich latach stało się organizowanie coraz większych mas i scentralizowanie ruchu pod wodzą *Trades Hall Council*.

Adolf Wars.

ry, łamać je i upadać nagle i z łoskotem. Wtedy rozpryskało się w puch postanie śniegowe i otaczało podróżnych naszych wirującymi słupami. Wydawało się, że jakieś potwory zataczają w szalonym tańcu olbrzymie koła, że doganiają z tyłu, zabiegają z przodu, z boku i sypią po szczypcie śniegu na sanie. Gdzieś, najwyższej, w zenicie uderzał niby wielki, rozkołysany dzwon przeciągle, głucho, jednostajnie.

Doktor poczuł, że nie jada już po drodze: sanie posuwały się zwolna, uderzając końcami sanic o grzbiety zagonów.

— Gospodarzu!—zawołał z trwogą,—a gdzie my jesteśmy?

— Jadę polem do lasu,—odpowiedział chłop,—w lesie ciszej będzie,—pod samą wieś lasem zajedziemy...

Rzeczywiście wiatr wkrótce ucichł,—słychać tylko było huk podniebny i trzask łamiących się gałęzi. Na czarnem tle nocy można było odróżnić osypane śniegiem drzewa. Prędzej jechać nie można było, drożyna bowiem leśna, zawałona zaspami, przeciskała się wśród pniaków i gałęzi. Nareszcie, po upływie jakiejś godziny, podczas której doktor szczerze namartwił się i naobawiał, dały się słyszeć powtarzające się, głucho odgłosy:—psy czekały.

— Nasza wieś, wielmożny panie...

Zamigotały światła w oddali, podobne do chwiejących się w różne strony punkci-ków, dym zapachniał.

— Nuże—małel—zawołał wesoło na koniu woźnica, rozgrzewając się za pomocą objania sobie boków pięściami.

Za chwilę mijali pędem szereg chat, do strzech zasypanych śniegiem. Na tle szyb zamazanych okien, od których padały na drogę kręgi światła, rysowały się cienie głów.

— Wieczereż ludzie jedzą... — bez żadnej potrzeby zauważył chłop, przypominając doktorowi czas „wieczery”, której spożywać dnia tego nie miał nadziei.

Zatrzymały się konie przed jakimś domostwem; chłop wprowadził d r a Pawła do sieni i znikł. Namacawszy klamkę, doktor wszedł do małej i nędznej izby, oświetlonej kagankiem naftowym.

Zgrzybiała i zgarbiona, jak rączka parasola, kobiecina zerwała się, ujrawszy go, z łóżka, poprawiła chustkę na głowie i jęła mrugać powiekami, a wytrzeszczać czerwone oczy ze źle tajonem przerażeniem.

— Gdzie chora?—zapytał. Samowar macie? Stara w przerażeniu swem do słowa przyjść nie mogła.

— Samowar macie,—herbaty możecie mi zrobić?

— Jest ten to samowar,... jeno cukru...

— Masz tobie!—cukru niema?

— A niema.—chybaby Walkowa mieli,—bo to panienska...

— Gdzież ta wasza panienska?

— A dy w stancyi nieboga leży.

— Dawno chora?

— Pokłada się to ta już ze dwie niedziele, a teraz ani ręką, ani nogą. Ścisnęło i pokój. Uchyliła drzwi do izby sąsiedniej.

— Zarazi!—ogrzeć się muszę,—zawołał gniewnie doktor, zdejmując futro.

Ogrzać się w tej norze nie było trudno: z pieca rozchodziło się takie gorąco, że doktor coperdziej wsunął się do pokoju „panienki”. Małą tę i nadzwyczajnie ubogą izbę oświetlała lampa przyćmiona, ustawiona na stole obok wezgiwia chorej. Rysów jej twarzy nie można było rozeznąć, gdyż padał na nie cień jakiejś dużej księgi, ustawionej przed lampą. Doktor zbliżył się ostrożnie, lampę

rozświecił, usunął książkę i przyglądać zaczął pacjentkę. Była to młoda dziewczyna, pogrążona we śnie gorączkowym. Szkarłatem powleczone była jej twarz, szyja, ręce,—na tle tem znać było jakąś wysypkę. Jasno-pielate, niezmiernie bujne włosy leżały popłatanemi pasmami na poduszce, wiły się dookoła twarzy,—ręce bezwiednie i niecierpliwie szarpały kołdrę.

Dr. Paweł pochylił się aż do samej twarzy chorej i zaczął nagle mówić głosem, który przecinało i dusiło przerażenie:

— Panno Stanisławo, panno Stanisławo, Stanisławo!...

Chora leniwie i z wysiłkiem dźwignęła powieki, lecz zamknęła je natychmiast,—przeciągała się, przesuwała głowę od jednego końca poduszki do drugiego i jakoś cicho, boleśnie, głucho jęczała. Co chwila otwierała usta, z wysiłkiem połykając powietrze, jak karp...

Doktor powiódł oczami po nagich, wapnem wybielonych ścianach izby, dostrzegł okno źle opatrzone, przemokłe i zeschnięte trzewiki chorej,—stosy książek, leżące wszędzie: na ziemi, na stoliku, na szafce...

— Ach ty, szalona, ty, głupiał!—szeptał, zalamując ręce.

Gorączkowo, z trwogą i żalem zaczął ją badać, mierzył drżącymi rękami temperaturę.

— Tyfus... wyszeptał, blednąc.

Z wściekłością ścisnął sobie gardło, w którym dławili go, niby zwitki pakuł, trzy niezgodne wypłynąć. Widział, że nic jej nie pomoże, nic nie może pomódz,—roześmiał się nagle, wspomniawszy, że po taką chininę lub antypirynę trzeba posyłać do Obrzydłowa... trzy mile. Panna Stanisława otwierała od czasu do czasu oczy szklane, bezmyślne, podobne do zażytego pod powiekami płyną

rej szkoły", jeżeli brak wszelkiej metody naukowej szkoła nazywać można. Po przeczytaniu powyższego ustępu dziwić się nie będziemy takim zdaniom, że mowa ludu krakowskiego mniej jest zepsuta, aniżeli mazurska. Uważając „rody", t. j. grupy etnograficzne, jako odmiany jednej narodowości, pod wpływem różnych warunków wytworzone, konsekwentnie widzi p. Federowski w narzeczach skażone odmiany jednej mowy, języka narodowego. Ponieważ błąd ten bardzo jest rozpowszechniony, nie od rzeczy będzie tu zaznaczyć, że jak narodowość jest wytworem przeważnie kultury państwowej danej grupy społecznej, tak język literacki jest wytworem kultury umysłowej tej grupy. Zwykle jedno z plemion narzuca innym kulturę państwową i asymiluje żywioły pokrewne, przyjmując od nich pewne właściwości, zwykle też jedno narzeczce z tych lub owych przyczyn staje się językiem literackim, podlegając jednak mniej lub więcej wyraźnym wpływom innych gwar pobratymczych. Narzeczce krakowskie lub mazurskie mogą być „zepsute", lecz wtedy tylko, kiedy ulegają wpływowi innych języków, jak np. niemieckiego, albo nawet innych narzeczy polskich. Jak właściwości etnograficzne nie są skażeniami typu narodowego, tak właściwości dyalektologiczne nie są skażeniami języka narodowego.

Jak już zaznaczyłem, praca p. Federowskiego zawiera sporo ciekawego materiału, który wszakże bacznie musi być sprawdzany i oczyszczony. Właściwy ludowi tamtych okolic sposób wymawiania nie jest zachowany, albo bardzo niedokładnie notowany. Opisom obrzędów również wierzyć nie można, bo np. w liczbie pieśni weselnych znajdujemy znaną pieśń szlachecką:

W niedzielę rano, w niedzielę rano

Drobny deszcz pada i t. d.

Pieśń ta z treści swej nie nadaje się do obrzędów weselnych:

Będę służyła, będę służyła

Przy nowym dworze,

Ty będziesz księdzem, ty będziesz księdzem

W wielkim klasztorze.

Być może śpiewano ją podczas *pustochy* (dziewicy wieczór), co autor słyszał, ale do pieśni obrzędowych zaliczyć jej niepodobna.

P. Federowski podaje sporo ciekawych i mało lub nieznanych podań i klechd, coż, kiedy zwykle w taki oto sposób po literacku je prze-

rabia. Dla przykładu przytoczę opowieść, czyli, jak autor się wyraża, „przypowieść", „*wiernie z ust ludu powtórzoną*"; o „Ojcowskim królu".

„Dzień się miał ku słońcu oblaty ziemie różowym światłem, gdy leciwy kmicie Maciej, którego głowę zdobił już oddawna wianek siwo-srebrzystych włosów i t. d." W tym samym tonie i tym stylem opowiada autor dalej, „wiernie powtarzając z ust ludu".

Wartość książki p. Federowskiego najlepiej można ocenić, porównawszy ją z przesłanną pracą S. Ciszewskiego, opisującą właśnie lud sąsiednich okolic.

Zupełnie inaczej wykonał swą pracę p. S. Chełchowski. W dwóch tomach zebrał autor *Powieści i opowiadania ludowe z okolic Przaszysza*. Czytając te opowiadania, widzimy, że są one istotnie „powtórzone z ust ludu", zapisywane słowo w słowo, z zachowaniem właściwości wymawiania nie tylko miejscowych, ale nawet indywidualnych, z wyjątkiem *d* (ścieśnionego). Odrazu np. widać różnicę stylu powieści, spisanych z ust szlachty zagrodowej i powieści chłopskich. Praca p. Chełchowskiego zasługuje na szczególną uwagę z wielu względów, głównie zaś z tego, że powieści ludowe były dotychczas „po macoszemu traktowane" przez naszych etnografów. Tymczasem ten rodzaj literatury ludowej ulega szybkim a ciągłym zmianom, należy więc jak najspieszniej zapisywać te objawy twórczości ludu.

Zaznaczyć tu winieniem, że autor nie właściwie zamiast *etnografija* i *etnograf* używa w przedmowie wyrazów *etnologija* i *etnolog*. Dziś etnologija nazywamy zazwyczaj naukę o rasach ludzkich, w każdym zaś razie, nawet nadając wyrazowi temu szersze znaczenie: metodyczne zbieranie pieśni i podań, opisywanie obrzędów i t. p.—należą do zakresu etnografii.

Nieduża książeczka p. R. Zawilińskiego (*Z powieści i pieśni górali beskidowskich*) ma te same zalety, co praca p. Chełchowskiego, a może nawet w wyższym stopniu, autor bowiem jest specjalistą filologiem, nadzwyczaj troskliwie więc i umiejętnie zaznaczył właściwości języka i wymowy, takie nawet jak przydźwięk wargowy *u* przed *o*, np. „*ogień*". Na tę właściwość wymowy ludowej, o ile sędzić mogę, bardzo rozpowszechnioną, etnografowie nasi nie zwracają dotychczas należytej uwagi.

Jagodne, z Wasilewskiego — to monografija

wsie w powiecie łukowskim, mogąca z wielu względów stanowić wzorzec dla tego rodzaju opisów różnych miejscowości. Jest to praca tego samego typu, co zarys p. Federowskiego, ale dokonana daleko lepiej. P. Wasilewski posiada również „zacięcie" literackie, wie jednak, kiedy można mu pofolgować. Materiał etnograficzny zbiera i przedstawia metodycznie, sumiennie i tylko w ogólnych uwagach puszcza wodze temperamentowi literackiemu. Prowadzi go to czasem do zbyt pośpiesznych może lub jednostronnych uogólnień (np. dwie gammy natury i dwa typy krańcowe ludności — podlasiak i krakowiak), ale sam autor zresztą wnioskiem swym nie nadaje przesadnej wartości, poprzestając na roli komentatora. Monografija uwzględnia również społeczno-ekonomiczne warunki bytu ludności, które obszerniej traktuje autor w artykule, pomieszczonym w *Wiśle*. Pożądane byłyby, powtarzam, podobne opisy miejscowości bardziej typowych z różnych okolic kraju. Na pierwszy rzut oka Jagodne jest zwyczajną wioską, niczem nie różniącą się od sąsiednich i nie tylko sąsiednich wsi polskich. Autor jednak zauważył w niej pewne szczególne właściwości i umiał je dobrze wydatnić, co dowodzi, że jest bystrym spostrzegaczem i posiada niewątpliwie talent pisarski. W każdej wsi niemal, jeżeli zapoznamy się z nią dokładnie i umiejętnie zbierzemy warunki życia jej mieszkańców, znajdziemy cechy typowe bądź dla danej miejscowości, bądź dla pewnej grupy ludności, bądź wreszcie dla pewnego rodzaju osad. Wioska śród-leśna i zamieszkująca ją podlasiacy przedstawiają się wyraźnie, zbyt wyraźnie może, jeżeli chodzi o ścisłość naukową. Praca początkującego autora musi mieć i ma pewne usterki, z których wymienię brak zestawień porównawczych. Ciekawym jest np. że jagodzinie śpiewają w przekładzie polskim jedną z najbardziej znanych a typowych pieśni ukraińskich, czego autor nie zaznacza. Pieśń, jak powiadam, jest charakterystycznie ukraińską, nie może więc być mowy o wspólności motywu. Szkoda również, że melodia tej pieśni nie została w Jagodnem zapisana.

Rozprawa d-ra M. Udzieli: *Medycyna i przesydy lecznicze ludu polskiego* jest pracą sumienną, jakkolwiek nie wyczerpującą bynajmniej przedmiotu.

Odpowiedniego materiału zebrano bardzo nie wiele, a to, co jest, zbierano zazwyczaj

i patrzała, nic nie widząc, przez długie, koliste rzęsy. Wołał na nią najczulszemi nazwami, unosił jej głowę, słabo trzymającą się na szyi — nadarmo.

Usiadł bezwładnie na stołku i wpatrywał się w płomień lampy. Oto nieszczęście, jak wróg śmiertelny, zadało mu ślepy cios i wleczce teraz bezsilnego do jakiejś mrocznej pieczary, do jakiejś szczeliny bez dna...

— Co począć? — szeptał, drżąc.

Przez szpary okna wdierał się chłód buri zimowej i przechodził przez izbę, jak widmo złowieszce. Zdawało się doktorowi, że go ktoś dotyka, że, oprócz niego i chorej, jest w izbie ktoś trzeci...

Wyszedł do kuchenki i zakrzyknął na służącą, aby mu wołała natychmiast sołtysa.

Stara wdziagała co tchu obrzymie buty, okryła głowę „zapaską" i, zabawnie podskakując, znikła. Wkrótce potem zjawił się sołtys.

— Słuchajcie — nie znajdziecie mi człowieka, któryby pojechał do Obrzydłówka?

— Teraz, panie doktorze, nie pojedzie — zawieja.

Na śmierć pojedzie?... Psa ciężko wygnąć.

— Ja zapłacę, wynagrodzę.

— Nie wiem ja, — przepytam się.

Wyszedł. Dr. Paweł ścisnął skronie, które zdawały się rozsadać napływ krwi. Przystał na skrzynce i o czemś dawnem, dalekiem myślał.

Dały się wkrótce słyszeć kroki: sołtys prowadził parobczaka w kożuszyne przedartej, nie dotykającej mu kolan, w zgrzebnym spodniach, kiepskich butach i czerwonym szalik na szyi.

— Ten? — zapytał doktor.

— Powiada, że pojedzie — śmiałek. Ja konia mogę dać, ale gdzież to w taki czas...

— Słuchaj — jeśli wrócisz za sześć godzin, —

dostaniesz odemnie dwadzieścia pięć, trzydzieści rubli, dostaniesz — co chcesz... słyszysz?

Chłopaczyna popatrzał na doktora, — miał zamiar coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Utał nos palcami, bokiem się odwrócił i czekał. Doktor powrócił do stolika nauczycielki i zaczął pisać. Ręce mu się trzęsły i skakały co chwila do skroni. Kombinował, pisał, przekreślał, darł papier. Wystosował list do aptekarza, prosząc, aby natychmiast wysłać konie do miasta powiatowego po tamtejszego lekarza, prosił o wystanie mu chininy, — nachylał się nad chorą, badał ją jeszcze. Wyszedł wreszcie do kuchni, i wręczył list chłopakowi.

— Mój bracie, — mówił jakimś nieswoim, dziwnym głosem, kładąc ręce na ramionach wyrostka i wstrząsając nim, — co koń skoczy, co tchu... Słyszysz, — mój bracie...

Chłopiec skłonił mu się do nóg i wyszedł z sołtysem.

— Ta nauczycielka dawno tu u was wsi siedzi?... zagadnął dr. Paweł babinę, przituloną do komina.

— Trzy zimy!.. jakoś bodaj.

— Trzy zimy. Nikt tu z nią nie mieszkał?

— A któż ta miał — ja jeno. Przygarnęto mię chudziątko — służby, powiada, już nie znajdziecie, babko, — a u mnie ta roboty nie wiele, — aby ta aby... Teraz masz: com sobie obiecywała, że mi trumnę sprawi, to ja... módl się za nami grzesznemi...

Zaczęła niespodziewanie szeptać modlitwę, odcinając wyraz od wyrazu i poruszając wargami, jak wielbłąd. Głowa jej się trzęsła, zmarszczkami wlewały się łzy do ust bezzębnych.

— Dobra była?..

„Babka" zaczęła chlupać śmiesznie i machać rękami, jakby pragnęła doktora od siebie odegnąć. Wyszedł do pokoju i zaczął na pal-

cach chodzić po swojemu, dokoła... chodził, chodził... Zatrzymywał się czas od czasu przy łóżku i z gniewem, od którego białaty mu wargi i wyszczerzały się zęby, mówił do chorej:

— Niemądra byłaś! Tak żyć nie tylko nie można, ale i nie warto. Z życia nie zrobisz jakiegoś jednego spełnienia obowiązku: — zjedzą cię idyjoci, odprowadzą na powrozie do stada, a jeśli się im oprzesz w imię swych głupich złudzeń, to cię śmierć zabije najpierwszą, boś zapiękną, zbyt ukochana... przez bogów...

Jak płomień suche drewno, obejmowało go dawne, przeżyte, zapomniane uczucie, — zjawiało się — porywające jak niegdyś i zabójczo słodkie. Wmawiał w siebie, że nigdy o niej nie zapomni, że do tej chwili ją uwielbiał i pamiętał... Przypatrywał się tej twarzy znajomej z jakąś nienasyconą ciekawością i cichy, przesywający ból wjadał mu się w serce. Trzy lata tu mieszkała obok niego, — dowiaduje się o tem, gdy mu umiera...

Wszystko, co go spotykało dnia tego, — wydawało mu się, jako dalszy ciąg udręczeń przymusowo — borsuczego istnienia. Jednocześnie rozchylał się jakiś tajemniczy horyzont, jakiś ocean, ginący we mgłach. Po nerwach jego, aż do najdalszych ich gałązeczek ściekał zimny dreszcz, — miotał się, jak śliz na błotnistym dnie strumienia wychowany, gdy go zanurzyć w wodzie morskiej...

To też całym wysiłkiem rozpaczliwej niecierpliwości uchwycił się wspomnień, uciekł w nie przed nieznośną rzeczywistością, zatonął, jak w obłoku mgły czerwcowego przedświt.

Za jakąbądź cenę pragnął być choćby przez chwilę sam, aby myśleć, myśleć...

(Dok. nast.)

nie umiejętnie, z pewnym uprzedzeniem. Od tego uprzedzenia nie jest wolny sam autor, jak to widać z tytułu „przesady”, zamiast praktyki, sposoby lecznicze. Sądząc z tytułu d-r M. Udziela jest lekarzem, co w danym razie przeszkadza mu być czasem zupełnie bezstronnym spostrzegaczem. Z wyżyn wiedzy fachowej spogląda autor dosyć pogardliwie na medycynę ludową. Tymczasem lecznictwo ludowe, lepiej zbadane, mogłoby się przyczynić do postępów wiedzy medycznej. Przykład Chałubińskiego u nas a Botkina w Rosji, którzy o medycynie ludowej wyrażali się nieraz z uznaniem i niektóre środki ludowe nawet stosowali w praktyce, jest, zdaje mi się, w danym razie pouczającym.

J. L. Popławski.

W sprawie słownictwa naukowego.

(Z powodu tłumaczenia książki I. Dana, *Podręcznik Geologii*. Spolszczył dr. J. Siemiradzki. Z 261 drzeworytami. Warszawa 1891 r.

Piśmiennictwo nasze, jakkolwiek zkadinać dosyć bogate i różnorodne, jest na polu umiejętności ściślej i nauki lżejszej, przystępnej dla szerszego ogółu—nadmierzają ubogiem.

W ostatnich piętnastu latach ukazało się u nas po kilka podręczników z zoologii, botaniki, mineralogii i geologii, — wszystkie one z małym wyjątkiem—niewiele są warte.

Najlepszymi w naszym języku podręcznikami z powyżej wyszczególnionych dziedzin umiejętności przyrodniczej były początki zoologii, botaniki, mineralogii i geologii — Milne Edwardsa, Jussieu'go i Beudanta, wydane jeszcze przed czterdziestu paru laty. Podręczniki te odpowiadały ściśle stanowi ówczesnej umiejętności, przytem były wybornie na język polski przełożone (szczególnie mineralogija i geologija), dziś są już one—rzecz prosta—przestarzałe, choć nie bez korzyści mogą być i teraz czasem użyte. Z późniejszych wydawnictw tego rodzaju ani jedno nie dorównało wspomnianym podręcznikom, z wyjątkiem mineralogii, której ukazały się dwa cenne wydawnictwa, napisane przez L. Zejsznera i A. Altha. Dwa podręczniki szkolne zoologii, Skłodowskiego i Popławskiego, wydane po 1860 r. (tj. w tym samym czasie, co i mineralogija), były także zadawalniającymi w swoim rodzaju nabytkami w naszym piśmiennictwie, były one bowiem opracowane na podstawie zoologii Milne Edwardsa przez ludzi, dobrze z przedmiotem obeznanych i znających dokładnie nasz język. Botanika i geologija nie mogły się u nas poszczycić nawet takimi książkami, jakie miała zoologija i mineralogija; wszystko to, co się ukazało z dziedziny tych umiejętności, było już przy swem ukazaniu się przestarzałym. Zresztą po roku 1861 wszystkie podręczniki należące do wyszczególnionych dziedzin wiedzy, były daleko gorsze od poprzednich, czego główną przyczyną był albo zły wybór tłumaczeń albo nieuctwo tłumaczy, lub ich niedostateczna znajomość języka polskiego¹⁾.

Tylko o chemii, fizyce i astronomii nie można powiedzieć tego, albowiem, chociaż nie posiadamy obszernych dzieł specjalnych z dziedziny tych nauk, mamy za to kilka bardzo dobrych podręczników.

Wobec takiego stanu rzeczy każda nowa książka polska z dziedziny zoologii, botaniki, mineralogii i geologii, gdy napisana jest dobrze i odpowiada dzisiejszemu stanowi nauki, powinna być przyjmowana przez nas z otwartymi rękami, jakkolwiek krytycznie.

Zamierzając podać w łamach „Głosu” cały szereg prac sprawozdawczych z dzieł polskich treści przyrodniczej, pozwalam sobie zacząć od rozbiórki książki I. D. Dana'y w przekładzie d-ra J. Semiradzkiego.

Tłomacz powiada w przedmowie, że wybrał

podręcznik Dana'y dlatego, iż mu się wydawał najbardziej zwięzłym i treściwym, a przytem nie wymagającym od uczącego się żadnych wiadomości przedwstępnych z nauk pomocniczych, które znalazły krótkie wyjaśnienie w samym podręczniku. Prócz tego, p. Siemiradzki został pociągnięty i tem, że dziełko to zostało przyjęte za podręcznik w średnich szkołach Stanów Zjednoczonych, Anglii i Francji. Tłomacz odstąpił jednak w wielu miejscach od ścisłości oryginału angielskiego, opuszczając opisy stosunków geologicznych Ameryki północnej i zastępując je wiadomościami, zaczerpniętymi z ziemioznawstwa naszego kraju. Przy takiej zmianie treści podręcznika musiał być dział rysunkowy zmieniony zupełnie.

Podręcznik podzielony jest na cztery części: geologiję fizyograficzną, litograficzną, historyczną i dynamiczną. Geologija historyczna jest najobszerniej wyłożona i zajmuje całą połowę książki, najmniej zaś w podręczniku miejsca zajęła geologija fizyograficzna, jako stanowiąca właściwy przedmiot nauki geografii.

W tej krótkiej części pierwszej uwzględniono najnowsze zapatrywanie Krajewskiego na rozmieszczenie łądów wzdłuż przypuszczalnego dawnego równika kuli ziemskiej (objaśnione stosowną mapką), jakoteż przedstawiono w ogólnych zarysach przekroje postaci łądów stałych, wyobrażające ich zakłócenie pośredku a podniesienie z brzegów; temi wiadomościami podniesiono znacznie naukową wartość książki, ponieważ nie były one jeszcze uwzględnione dotychczas w żadnym podręczniku. Cała ta część pierwsza jest wyłącznie pióra p. Siemiradzkiego.

W części drugiej (w geologii kamienioznawczej) jest naprzód mowa o najszerzej rozpostartych ciałach mineralnych, którym za zasadę służy krzemionka i wapno, a więc o kwarcu włącznie z główniejszymi krzemianami i o węglanie wapna, czyli o wapieniu i o minerałach pokrewnych, wreszcie o piasku i glinie. Dalej, następuje podział skał (classificatio) na okruchowe, przeobrażone, wapienne i ogniowe, z krótkim poszczególnym opisem główniejszych. Następnie, jest mowa o złożeniu i uwarstwieniu (stratificatio) skał, jakoteż o ułożeniu ich pokładów.

Wszystko jest wyłożone zwięźle i przystępnie, w doskonałym kolejnym porządku. Co prawda, zapas ten nie jest bardzo wielki, lecz wystawia sobie łatwo, że od podręcznika samej geologii nikt chyba nie będzie żądał dokładnego pouczenia o innych pomocniczych gałęziach wiedzy, jak mineralogii i chemii. Toż samo można powiedzieć o dwóch dalszych rozdziałach, poświęconych zoologii i botanice, w których znalazło krótki opis, wszystko to, co ma związek z geologiją, a nawet więcej, gdyż uwzględniono tam (choć bardzo pobieżnie) i budowę zwierząt i roślin. W geologii dziejowej, tj. w opisie następnego różnorodności pokładów ziemi, znalazło miejsce wszystko, co dotychczas zbadane zostało, przyczem prawdziwą zasługą p. Siemiradzkiego w tym dziele jest to, że opuścił niewiele początkującego obchodzące stosunki ziemioznawcze Ameryki północnej, a na ich miejsce podał odpowiednie wiadomości, tyżące się naszego kraju i reszty Europy, gdy w oryginalne wiadomości te były prawie zupełnie pominięte. A zważywszy naży, że pokłady różnych warstwowisk (formacyj) Ameryki różnią się częstokroć bardzo znacznie od tychże samych w Europie. Wszystkie warstwowiska i pokłady są objaśnione licznymi rysunkami szczątków zwierząt i roślin, znamionujących je, a znalezionych przeważnie na obszarach kraju naszego i ziem sąsiednich, Rysunki odznaczają się bezwzględnie dobrocią. Wszystkie okresy zostały ile możności powiązane w jedną całość, ażeby uwydatnić czytelnikowi kolejną zmienność postaci zwierzęcych i roślinnych, żyjących w różnych epokach tworzenia się pokładów na powierzchni kuli ziemskiej.

Każdy okres poprzedzony jest przedwstępnymi wiadomościami, dotyczącymi jego dziejów i rozległości, w zakończeniu widzimy przegląd całości: ogólny zarys świata ożywionego i wyszczególnienie pokładów, znajdujących się na obszarach ziem polskich.

Rozdział zatytułowany „Ogólny rzut oka na dziejowy rozwój ziemi” posiada wielką do-

nosłość naukową i podnosi znacznie wartość podręcznika. W rozbiór jego jednak nie będę się tu wdawał, gdyż powiększyłoby to znacznierozmiar niniejszego sprawozdania i tak dość obszernego.

W czwartej części książki, w geologii twórczej, (dynamicznej) zostały wyłożone treściwie, lecz dokładnie i bardzo zrozumiale wszystkie wiadomości, dotyczące sił przyrody, czynnych przy tworzeniu się skorupy ziemskiej. Uwzględniono wpływ jestestw ożywionych na powstawanie pokładów, opisano tworzenie się torfowisk i raf koralowych, poświęcono osobne rozdziały czynności przetwórczej powietrza i wody pod różnymi postaciami, jako też wewnętrznego ciepła kuli ziemskiej, objawiającego się dziś jeszcze w licznych wulkanach, gejzerach i źródłach gorących, występujących w różnych częściach świata. Od tego ostatniego, nader ważnego czynnika zależne zjawiska, mianowicie: przeobrażalność skał i tworzenie się żył, znalazły również krótkie, lecz treściwe wyjaśnienie w podręczniku. Wyłożono także w krótkości najnowsze zapatrywania na zmienność poziomu wód w oceanach, na łupliwość skał i o trzęsieniach ziemi. Wogóle, treść podręcznika jest bogata, a przytem w zaciekawiający i w bardzo przystępny sposób opowiedziana.

Muszę tu wyznać otwarcie, że książki początkowej, wyłożonej tak doskonałym sposobem, dla dziecka niemal zrozumiałym—w naszym języku jeszcze nie było,—jest to znakomitość w swoim rodzaju i przynosi niemały zaszczyt jej amerykańskiemu autorowi. Panu Siemiradzkiemu zaś należy się od nas prawdziwe uznanie za przyswojenie tego podręcznika językowi polskiemu.

(Dokończenie nastąpi).

Dr. A. Załuski.

Sprawozdanie naukowe i literackie.

Eliza Orzeszkowa—*Czciciel potęgi* powieść—nakładem „Przeglądu Tygodniowego”.

„Na Cybellę, płodną i silną, pokażcie mi makolągwę, której jednym uderzeniem nie zabija jastrząb, liść, którego nie porwie ze sobą wiatr, kroplę, której w stronę swego biegu nie pociągnie fala!”... Tak mówi Lidyjczyk Pytyon, stary, mądry i niezmiernie bogaty obywatel państwa Kserksesa; czterech synów—jak on kupców i władców zastępu niewolników—wtoruje mu jednogłośnie i razem z siwobrodym, rumianym ojcem niezmordowanie pomnaża i tak niezliczone bogactwa rodu.

W podziemnym chłodzie, w wiecznej ciemności złotodajnej góry Tmolusa, tysiąc ciał nagich, od pracy nadludzkiej zczerniałych i od chłosty skrwawionych—wydziera ziemi skarby dla Pytyona. Jemu też toczy złoty piasek falisty Paktol, nad brzegami którego niezliczone stada owiec i tabuny koni i wielbłądów pasą się na pożytek potężnego bogacza.

Pytyon jest również mądry, jak bogaty. Mimo, iż sam dziś nie zdołałby zliczyć w talentach i minach srebra majątku swego, mimo, że wielkorządca Lidyi jest gościem jego czestym i niema w kraju nikogo, z kim by się Pytyon nie mógł zmierzyć zwycięzko—on przecież nie ustaje w skrzętnym pomnażaniu mienia i pamięta, że jest wyższa nad niego potęga...

Raz tylko uniósł się sprawiedliwym gniewem, gdy atęńczył, jakieś nierozumne chłopię, śmiało przeczyć jemu, Pytyonowi, sławiącemu niezmierną chwałę władcy świata—Kserksesa. Jednak niedługo trwał jego gniew: straż zdołała zaledwie zamknąć drzwi ciemnicy za atęńczykiem, kiedy rumiany Pytyon z pogodą i zapałem znowu mówił przed ludem w mądrych wyrazach, wykazując urok potęgi i nieczemność nieuznających jej małuczkich a bezsilnych....

Tego czasu piąty najmłodszy syn Pytyona Diloram, powrócił był z jakiejś tajemnej wędrówki.

Młody i dziwny Lidyjczyk nie umiał z bratem Fredegandem liczyć kieszki złota, ani w podziemiach Tmolusa słuchać łoskotu młotów i świstu bicza. Umknął z domu i w dalekiej Grecji spędził dwa lata, patrząc na inne życie i

¹⁾ Co do tej ostatniej sprawy, to muszę wyznać, że z każdym dniem niemal język nasz jest coraz więcej kaleczonym i zanieczyszczanym obczyzną; autorom naszym bowiem nie idzie bynajmniej o to, jak napisać, ale o to, ile napisać.

innych ludzi. Tam panowała nie azyjatycka o wydętych piersiach Cybella, lecz boska Pallas i Apollo. Tam nie brzęczały sztaby złota, lecz wśród szmeru gajów mirtowych rozlegały się pieśni i słowa mistrzów. To wszystko zapadło do duszy Dilorama i od powrotu już nie miał całkiem serca dla swoich: coraz boleśniej odczuwał ucisk Cybelli niesytej złota i coraz bardziej tęsknił do innego świata.

Towłaśnie było jedyną skazą w świetnej aureoli Pytyona. Mawiał, że jak ciało Dilorama podobne jest do smukłej trzciny, tak umysł—do mgły. Tak niepochwytne i niezrozumiałe były dla czciciela Kserksesa marzenia syna, zaczerpnięte gdzieś w swobodnej Grecji. Chętniacy się swoją swobodą kraik wydawał mu się wprost śmiesznym—od spartańskiej dumy do mądrości Aten, która głosiła, iż „bogowie połowę duszy odbierają temu, kogo czynią niewolnikiem”. On Pytyon rozumiał, że potęga jest najwyższym darem bóstw i że jej panowanie nie poniża czcicieli, korzących się przed tak wielkim majestatem!

Właśnie Kserkses, który po Daryuszu w spuściźnie wziął sprawę odwetu grekom, podźwignął swe ludy i miał spełnić oddawna zamierzone plany. Niezliczone miryady wojowników ciągnęły ku Sardoni, kiedy Pytyon zamierzył raz przecie oddać przynależną część swemu bóstwu i, wierny wyznawca, dostąpić łaski najwyższej. Całe życie gromadził zasoby i teraz czuł się w możności podjąć i godnie ugościć Kserksesa. Korzył się w myśli przed blaskiem, jaki do jego domu mógł zstąpić wraz z mocarzem; lecz jednocześnie pragnął go coraz bardziej i postanowił dopiąć tego. Złoto dało mu przewagę i pewność, a niezmierna wiara i miłość, jaką żywił dla pana swego, natchnęła śmiałością, potrzebną w takim przedsięwzięciu!

Kserkses sam zwrócił uwagę na kolosalny gmach Pytyona, stojący tuz przy drodze, na tle wspaniałem Tmolusa i zapragnął poznać szczęśliwego Lidyjczyka. Od czasu, jak wyruszył z Suzy, pierwszy to poddany tak wspaniale i jawnie ośmielał się czcić go. Potężny Kserkses zdumiał się, słysząc, iż lidyjczyk może ugościć nawet miryadę nieśmiertelnych, z którą się władca nigdy nie rozłączał, oczom nie wierzył, widząc drogę, po której miał stąpać, usypaną złotym żwirem. Ogrom miłości poddanego, tak hojne składającego ofiary, dym kadzideł rozrzewniły go. Lecz po nad wszystko rozczulił sam starzec siwobrody. Wzniesione na Kserksesa, oczy jego gorzały płomieniem i nurzały się w zachwycie, gdy z wysileniem mówić zaczął:

— „Więc na twoje to oblicze patrzę i twoją to postać oglądają, nakoniec, oczy moje nędzne, o królu, o panie, o kochanku bogów i ziemi—ty wielki, ty potężny, ty—święty!...

I znowu głos, raczej szept jego skonał, ale tym razem w hkanii, które zatrząsało jego piersią i zwisającym na nią z pod siwej brody złotym łańcuchem”.

Mocarz był wzruszony.

— Uczta, jaką Pytyon przygotował, podarki godne Kserksesa i dworu jego, niezliczone i głębokie dowody czci okazane przez ścielącego się u podnoża potęgi czciciela—nie mogły przejść bez śladu. „Niezmiernie potężny musi być jednocześnie niezmiernie dobrym”...

Pierwszą osobą w domu Pytyona, która ściągnęła miłościwe wejrzenie pana na siebie, było cudna Melissa, przybrana jego córka, a oblubienica Dilorama. Jej przypadek zaszczyt dzielenia łoża z Kserksesem podczas uczty.

Nie było dla dziewczyc tak perskich, jak innych poddanych mocarzowi ludów, większej chwały nad chwałę należącą do nieśmiertelnego. Czyżaj pieszczota może być słodsza, nad pieszczotę ust, z których podają rozkazy ludom? Rozumieli to wszyscy, prócz Dilorama, zakazanego pojęciami Grecji.

Rumiany Pytyon w miarę, jak władca jego coraz bardziej zdawał się być zadowolonym ze swego sługi—wpadał w ekstazę. Nie było dość wielkiej ofiary, którejby w tej chwili nie złożył u jego stóp. Kserkses chciał poskromić Grecję i Pytyon myślał: jakim sposobem panu może dopomóc. Nie długo się namyślał. Złożył mu cały swój majątek, prosząc, żeby te niezmiernie bogactwa były przyjęte dla wielkiej sprawy.

Ale mocarz rozrzewniony poświęceniem Pytyona już nie mógł nic ująć mu. Zresztą—czyż

miął być podobnym do swych dygnitarzy, którzy, widząc przepych Pytyonowego domu, urządzili właśnie podwoić ściągany od Lidyi podatek? — Nie! w chwili, kiedy Pytyon chciał wszystko poświęcić—Kserkses myślał o nowej łasce dla niego:

Odkąd Mitra słońce zapalił żaden młodzieniec z obcego persom rodu nie stanął w szeregu miryady nieśmiertelnych — straż przybocznej mocarza. I oto dziś Kserkses, pomijając błagania młodych perskich magnatów, postanowił w poczet nieśmiertelnych zaliczyć lidyjczyków Bubaresa i Toraksa—synów Pytyona!

Mógłże Pytyon marzyć o chwale większej nad chwałę swych synów, mających odtąd strzedz kroku najmocniejszego z mocarzy?!

Nie rozumiała tylko tego stara Gorgo, matka, której łaska Kserksesa napełniła serce zgrozą; lecz Pytyon wyszeptał:

— Niech się tak stanie, o wielki, jak rzekłeś!..

Ale Kserkses nie skończył:—dwaj średni synowie Fredegand i Wamik, też są godni zaszczytu—mają być więc przyjęci w poczet przybocznych łuczników...

Tu słowa dziękczynne starca zamieniły się w urywany szept.

— O wielki, czym dobrze usłyszał? I Wamik i Fredegand — i oni? A już—któż przy mnie.—Panie niezmierny wyrządzasz mi łaskę, lecz zapominasz, że stary”.

Gwar biesiady pekrywał szept Pytyona, który z wysiłkiem zadawał sobie pytanie:

— Czy Pytyon głupcem, o bogowie, czy mądry, można Pytyon głupcem być!..

Diloram tylko nie umiał dzisiaj przypodobać się władcy. Lecz niezmiernie potężny był niezmiernie dobrym—nie uniósł się gniewem; chcąc jednak uzdrowić tę przez Grecję zatrutą duszę rozkazał, aby i piąty syn Pytyona pełnił służbę w wojsku i tam nabył pojęć niespaczonych.

Starej, cierpiącej Gorgo nikt za kotarą nie widział, mogła więc kość łzami swe rozszalałe w bólu serce

Długim i niezmiernie obfitym w wypadki był dzień ten: złożyła się nań cała potęga Kserksesa i całe życie jego czciciela. Wśród gwaru biesiady spływały wolne godziny i chyliło się słońce ku zachodowi. Ciężej opadały powieki biesiadnikom i przykrywały się oczy zmęczone niezmiernym przepychem. Już cienie zstępowały z Tmolusa na niziny, a komnaty pełne rozgłosnych krzyków — teraz brzmiały przyciszonym, znaczącym gwarem...

Uczta skończyła się, Kserkses rozkazał Melisę uprowadzić do swoich wozów: z nim razem miała lidyjka przebywać w Sardach. Wiele się działo w dniu tym, ale nic nie dorównało postępkowi Dilorama, który ośmielił się wówczas stanąć na drodze Kserksesa.

— Zabierasz własność nie swoją!..

W ekstazie, chłodny napozór Diloram mówił dalej, nie drgnawszy nawet przed obliczem Pana.

Mówił o Grecji, o duchu, jaki ożywiają i dają siłę niezłomną. Szmer zgrozy powstawał do koła.

— Na krzyż śmiałka... zapilować go.

Diloram mówił jeszcze, przepowiadając zgubę hufcom Kserksesa, które złamie duch Grecji!..

Wtedy dopiero najlepszy stał się najsprawiedliwszym i okazał swój gniew. Ani on, ani Magowie ścierpieć nie mogli strasznych tych bluźnierstw. Kserkses podniósł do ust trąbkę.

— Do mnie jazdo moja przyboczna — rozdepczcie go, pomścicie pana swego!..

Długo później rozlegał się w nocnych cieniach, tentent kopyt końskich i ciężko toczyły się wozy wojenne niezmiernych hufców Kserksesa. Gdzie one przeszły — tam pole uprawne stało się klepiskiem... W domu Pytyona pogasły ognie, w pustych komnatach, jak cienie, snuli się niewolnicy. Sam Pytyon, nieczuły i nieprzytomny, nie wstał nawet, by obyczajem lidyjskim zamknąć oczy konającej Gorgo: leżał twarzą do ziemi, podobny w swej barwistej szacie do spłaszczonej gąsienicy...

Taka jest treść „Czciciela Potęgi”. Nie sposób jej wydobyć z bogatych akcesoryjów, jakimi ją autorka otoczyła.

Powieść ma swoje ognisko w scenie końcowej: od niej podają na całą treść jakby wsteczne promienie, które nadają utworowi niezrów-

nany koloryt. Wszystkie szczegóły, które przez ciąg rozwijającej się treści gromadzi autorka, otrzymują ztąd oświetlenie i raptem, w chwili, kiedy czytelnik doczytuje ostatnich słów, układają się w przedziwną perspektywę.

Cała książka stanowi wówczas tło doskonałe zarysowane, scena ostatnia wysuwa się na plan pierwszy: w ten sposób, powstaje malowidło.

Inaczej nie umiem nazwać „Czciciela potęgi”. Łudzająca plastyka opisów i niewielka stosunkowo akcja nadają mu cechy żywego obrazu, jakiejś genialnie ułożonej grupy, gdzie wrażenie jedności jest tak potężne, iż naprawdę utwór zdaje się stać na pograniczu między światem wewnętrznym a zewnętrznym.

Możnaby dużo mówić o tej książce. Jest ona jednym z niepoślednich klejnotów w skarbcu Orzeszkowej i zarówno porywa potęgą myśli, jak czaruje artystycznym opracowaniem.

Jednakże z pośród wrażeń, jakich dostarcza, opowiem tylko o jednym. Po przeczytaniu „Czciciela Potęgi” i po skonstatowaniu, że „jakie to silne i piękne” przedewszystkiem odczuwa się potrzebę podzielenia się tą książką: chciałoby się, żeby „i inni” jaknajprędzej poznali ten głęboki, czarowny obraz.

A. P. Ordynski.

GŁOSY.

Prawo o ubezpieczeniu robotników.—Kasy oszczędnościowe rzemieślnicze. — Pobyt księdza Chelmskiego w San-Paolo. — Wystawy urządzone przez Tow. wyścigów konnych.—Emigracja żydów do Palestyny.—Emancypacja chłopska.

(o) Rada państwa roztrząsa obecnie projekt prawa o ubezpieczeniu robotników na wypadek śmierci lub kalectwa. Dosyć szczegółowe informacje podaje o tym projekcie *Grażdanin*:

„Właściciele fabryk, zakładów górniczych i innych zakładów przemysłowych, oraz przedsiębiorcy budowlani, na wypadek śmierci lub kalectwa robotnika przy pracy, obowiązani są wynagrodzić robotnika lub jego rodzinę za straty, jakie pociągnęło za sobą nieszczęście, zaszkłe naprzód: wskutek przystąpienia do robót w warunkach zabronionych przez przepisy szczegółowe dla każdego rodzaju robót; powtórę — z powodu złego stanu machin, różnych aparatów, kotłów parowych i innych urządzeń technicznych, który to zły stan mógłby być przez troskliwego gospodarza uznany za powód niedopuszczenia robotników do pracy; potrzecie, wskutek nie zastosowania środków normalnych, albo używanych w fabrykach i zakładach sąsiednich dla utrzymania w stanie należywym różnych ruchomych części mechanizmów fabrycznych; wskutek nieużycia środków ku przeciwdziałaniu szkodliwym wpływom związków chemicznych i wreszcie wskutek niedostatecznej wprawy, czy też znajomości któregośkolwiek z oficjalistów fabrycznych, jakiemu powierzono dozór nad częścią roboty, lub działaniem maszyny.

We wszystkich tych wypadkach, robotnik otrzymuje wynagrodzenie pieniężne, którego wysokość zawisła od kalectwa, doznanego przez robotnika, i oblicza się w stosunku procentowym do rocznych zarobków robotnika.

„Praktyka administracyjna i sądowa przekonała, że fabrykanci lub przedsiębiorcy wiedzą zwykle dokładnie, w jakich mechanizmach fabrycznych i w jakim stanie tych mechanizmów praca robotnicza może być niebezpieczną lub sprowadza największą liczbę kalectw i śmierci.

„Oni więc winni w danym razie przekonać, że nieszczęście nie jest skutkiem ich niedozoru lub złego stanu machin i aparatów, albo braku środków ostrożności, lecz jest następstwem wyższej siły żywiołowej. Gdy wszystko to będzie w sposób należyty sprawdzone i dowiedzione, wówczas fabrykanci i inni pracodawcy mogą być zwolnieni od obowiązku wypłacania wsparć lub wynagrodzeń pieniężnych ofiarom wypadku.

„Wszelkie zastrzeżenia i umowy, zmierzające do ograniczenia praw robotników do wsparcia lub wynagrodzenia, uznają się za niebyłe; nadto przyznane robotnikom wynagrodzenia żadnym aresztem ulegać nie mogą”.

Rzecz ciekawa, że nawet taki wybitnie zachowawczy dziennik, jak *Grażdanin*, dodaje następującą uwagę:

„Trudno nie pragnąć, żeby prawo to zostało co

prędzej wprowadzonym w wykonanie, bowiem wiadomą jest rzeczą, że dozór nad pracą robotników—dozór, zmierzający do zabezpieczenia ich od kalectwa lub śmierci przy pracy—jest bardzo niedołężny i niekonsekwentny.

(r) Przy fabryce wyrobów drzewnych, należącej do pp. Chudzyńskiego, Szokalskiego i Żarskiego istnieją dwie kasy robotnicze: kasa chorych (krank-kassa) i oszczędności. W zasadzie są to niewątpliwie urządzenia pożyteczne, w praktyce zaś wszystko zależy od warunków szczególnych.

Na kasę chorych stracają robotnikom po 3 kopiejki od rubla zarobku. Tymczasem okazuje się, że w fabryce bardzo nie wielu jest robotników stałych, pracują często t. z. „młodziaki”, po 2–3 tygodnie, najwyżej 2 miesiące i odchodzą, a raczej są odprawiani dla braku roboty. Wszyscy oni płacić muszą na kasę, z której nie mają żadnej korzyści.

Co się tyczy robotników stałych, to jedni z nich, rzemieślnicy—opłacają składki szpitalne do zgromadzeń cechowych; drudzy zaś opłacają t. zw. karty wyrobne, mają więc szpital darmo. Zarząd fabryki jednak nie zwraca na to uwagi i ściągają od wszystkich po 3 kopiejki z rubla, czy zaś pomoc lekarska choćby połowę tego kosztuje, ile dają pracownicy—nie wiadomo, bo kontroli żadnej niema.

Na kasę oszczędności już od lat czterech ściągają zarząd po 2 kopiejki z rubla. Kiedy kasę zakładano, nikt nie pytał zainteresowanych, jak ją urządzić i ile dawać mogą. Istnieje w tej kasie niby jakaś kontrola; jest komisja, złożona z 5 majstrów, którzy decydują: komu dać pożyczkę i wyłącznie prawie sami z kasy korzystają. Oddalony z fabryki nieraz 2 tygodnie lub nawet miesiąc czeka na odbiór swej należności.

Panowie majstrowie zaś, jak o tem wspominaliśmy w roku zeszłym, prowadzą różne geszefty, potrzebują więc pożyczek z kasy.

Jeden z majstrów posiada naprzeciwko fabryki sklepik. Ponieważ robotnicy (często z powodu nieregularnych wypłat) potrzebują kredytu, majster-sklepikarz chętnie im go udziela. Rozdaje on robotnikom marki, które-ami płacą za wzięte na kredyt produkty, następnie przy wypłacie odbiera za te marki należność w gotówce. Tych, co nie chcą z takiego kredytu korzystać, majstrowie, działający w porozumieniu z sobą, w ten lub inny sposób przesładują.

Trzy takie marki złożono nam na dowód. Nadmienić tu musimy, że zarząd fabryki przy wypłacie zarobku nie ma prawa stracać za takie marki, jeżeli zaś to czyni, dopuszcza się nadużycia.

O postępowaniu majstrów z robotnikami świadczy najlepiej fakt następujący:

Jeden z robotników, cierpiący na chorobę serca, upadł przy drzwiach i przez kilkanaście minut leżał bez przytomności. Majster Michoński, który wówczas przechodził, tracił nogą leżącego i zawołał: co to tu leży...

(x.) Ks. Chełmicki opisuje w *Słowie* wrażenia swe z pobytu w San-Paolo, dokąd udał się wielu emigrantów. W domu dla emigrantów znalazł autor około 500 ludzi, nie licząc tych, co leżą w szpitalu i tych, co znaleźli zajęcie w mieście. Wszyscy, przebywający w domu emigranckim, znajdują się w opłakanym stanie:

„To jednak tylko ofiary niedoli, złamane, zgnębione. Wśród nich jednak, od czasu do czasu usłyszysz głos groźny. Nie chłop to, ale mieszkaniec małego miasteczka, który tutaj wśród tych zgnębionych biedaków przywłaszczył sobie rolę przewodnika. On nie zawodzi, nie płacze, ani grozi!

— Nie pociechy nam trzeba — woła, z piekielną butą—ani rady, ale pieniędzy. Jeżeli ksiądz tu przyjechał i pono jakiś pan, toście przywieźli po 100 rs. na każdego. A tak to tylko próżne gadanie.

— A może to nie ksiądz—woła inny, podobny pierwszemu—ino agent przebrany.

— Bój się Boga—przerywa mu trzeci — toć znam ojca z Warszawy; ilem go razy woził dorożką, godny kapłan.

— Cicho bądź — przerywa mu pierwszy—tyś taki sam, jak on!

— Wszczął się krzyk; pogroźki dolatywały mnie z kilku stron. Towarzysze moi struchleli.

— Ludzie—zawołałem przez lzy—więc do tegoście

doszli, że w ten sposób przyjmujecie waszego kapłana, który przybył zobaczyć waszą niedolę i ponieść innym wieść o tem, coście wycierpieli?”

Udało się ks. Chełmickiemu uspokoić wzburzenie, po czem zawezwał go do siebie dyrektor emigracji i zapytał:

— Co robić z tymi ludźmi—wszystkie środki zniewolenia ich do pracy są bezskuteczne.

— Zbieracie panowie—odparłem — plon waszego posiewu. Agenci wasi przyrzekali tym łatwowiernym ludziom niestworzone rzeczy. Przyszli tu uwiedzeni. Widzą się okłamanymi, zawiedzionymi, oszukanyymi w swoich nadziejach. Rozpacz działa przez nich. Na to nie ma już rady, ani perswazyi. Lecz co panowie z nimi zamierzacie zrobić?

— Jeszcze raz spróbujemy ich skłonić do roboty. Jeżeli to nie pomoże, siłą zapędzimy na okręt i zawieziemy na wyspę. Tam robić muszą.

(p) Jedyną może zasługą Towarzystwa wyścigów konnych w ciągu 50-letniego istnienia tej, jeżeli można się tak wyrazić, instytucji, było urządzenie wystaw inwentarza. Podobno wystawy te, może dla tego, że zbyt kosztownie je urządzano, nie opłacały się jako przedsiębiorstwo i corocznie trzeba było coś dokładać z funduszu gwarancyjnego. Ale natomiast opłacały się one hodowcom i niewątpliwie przyczyniały do rozwoju hodowli w kraju.

Otóż wystawy te, od lat kilku zaniechane, znowu odbywać się będą. Na ostatnim ogólnem zebraniu członków Towarzystwa wyścigów konnych postawiono wniosek odpowiedni, podpisany przez hr. K. Branickiego, F. Czackiego, J. M. Kamińskiego, A. Michalskiego i ks. M. Radziwiłła. Była, ma się rozumieć, opozycja, ale kiedy p. Kamiński na zasadzie sprawozdań wykazał, że dotychczasowe wystawy żadnego uszczerbku materalnego Towarzystwu nie przyniosły, wniosek większością głosów uchwalono i postanowiono w 1892 r. urządzić wystawę koni, bydła rogatego, owiec, świń, drobiu i przedmiotów, związek z hodowlą mających, asygnując na ten cel, sposobem zaliczki, 4,000 rs.

Nie rozumiemy jednak dodatku, dla czego do komitetu wystawy mają należeć tylko członkowie Towarzystwa wyścigów konnych. W ten sposób właśnie trzeba będzie z komitetu wyłączyć, chyba umyślnie, wielu zasłużonych hodowców i kompetentnych znawców.

(f) W całym prawie kraju zachodnim oraz w Królestwie szerzy się wśród żydów prąd emigracyjny do Palestyny. W ubiegłym tygodniu wyjechało z Odessy, jak powiadają miejscowe dzienniki, 180 rodzin, nowe zaś gromadki emigrantów przybywają. Prąd ten już zaczyna obejmować Warszawę, w ostatnich czasach wyjechało ztąd do ziemi ojczyściej kilkunastu, a nawet, jak chodzą wieści, kilkudziesięciu żydów. Przed paru dniami wyjechał do Palestyny niejaki Waldt, syn właściciela lambardu przy ulicy Brackiej, w celu nabycia tam ziemi, za 30,000 rs. które otrzymał od ojca, i gospodarowania na niej.

Żydzi utrzymują, że w Palestynie prawdziwy „raj” i że mnóstwo ich tam podąży. Niektórzy jednak, jak np. wspomniany Waldt-ojciec żałują, że nie ma tam Polaków, do których „bardzo się przyzwyczaili”. Istotnie mały transport polskiej szlachty i polskich chłopów byłby pożądanym dla emigrantów dodatkiem, i pewnie chętnie pokryliby koszt jego przewozu.

(p) *Przegląd Tygodniowy* słusznie drwi z „kuryjerów”, ubolewających nad tem, że chłopci z Czerniakowa i innych sąsiednich miejscowości zaczynają zrzucać tradycyjne sukmany i przywdziewać strój miejski. Argumentacja jednak, jakiej używa w tym razie *Przegląd*, tak jest komiczną, że zasługuje na przytoczenie:

„Chłop porzuca je (sukmany), gdyż bezwiednie przystosowywać się musi do nowoczesnej cywilizacji, *zmienionej flory kraju, zmienionej wskutek tego (?) temperatury i t. d.*”

Co ma zmiana flory do zmiany odzieży wiejskiej na miejską, jakim sposobem wskutek zmiany flory może zmienić się temperatura, a nie odwrotnie, tego feljetonista *Przeglądu*, ani nawet sam główny redaktor nie wytłumaczają.

Z OBCEGO SWIATA.

Kościół katolicki wobec kwestyi społecznej. — Ewangelicki kongres społeczny w Berlinie. — Procesy Cumminga w Londynie i Luëtgenaua w Berlinie.

Zwracaliśmy już niejednokrotnie uwagę czytelników na to, że duchowieństwo różnych wyznań przy czynnym udziale wiernych coraz gorliwiej zajmuje się kwestyją społeczną. Zainteresowanie to datuje się nie od dzisiaj, faktem jest jednak, że nigdy nie wyrażało się ono tak dobitnie. I nie dziwnego, kwestyja robotnicza stała się kwestyją pałącą w Europie zachodniej i zarówno jednostki, jak i grupy, pragnące odegrać jakąś rolę w życiu swego społeczeństwa, nie mogą jej pomijać pod grozą utraty wszelkiego wpływu i znaczenia. Jeżeli jednak niepodobna pozostać obojętnym widzem wobec dziejowego dramatu, jeżeli koniecznym jest wzięcie udziału w walce, toczącej się w społeczeństwie dzisiejszem, to w jakiejże roli wystąpić należy, jakie wobec sprzecznych interesów stanowisko zająć wypada. Na pytanie to dawano rozmaite odpowiedzi. Jedno było jasne. Niepodobna było stanąć wyraźnie po stronie kapitalistów, odmówić wszelkiej racyi żądaniom robotników. Minęły bezpowrotnie czasy, gdy sądzono, że żyjemy w najlepszym ze światów, że wszystkie drobne usterekki stroju społecznego znikną same przez się. Nikt już dzisiaj nie wątpi, że ustrój obecny bardzo dalekim jest od doskonałości i że zmienić go, ulepszyć jest zadaniem, ku rozwiązaniu którego wszystkie siły skierować trzeba.

Jeżeli jednak reforma jest niezbędną, to pozostaje znowu pytanie, jak daleko ma pójść ta reforma, czy ma ona dotknąć fundamentów, czy też tylko pewnych części budowy społecznej, oraz jakich sposobów używać. W duchowieństwie katolickim, jako też wśród wiernych jego popleczników świeckich, przeważało zawsze dążenie do zażegnania złego za pomocą modlitwy i moralizowania. Zjednoczyć we wspólnem nabożeństwie kapitalistów i robotników, przypomnieć pierwszym obowiązki miłosierdzia względem bliźnich w ogólności i względem sług i domowników w szczególności, utrwalić w drugich przekonanie o konieczności posłuszeństwa—oto środki wskrzeszenia harmonii klas, odbudowania pokoju społecznego. Na tym właśnie gruncie wyrósł patronat—czyli opieka przedsiębiorców nad robotnikami, ze wszystkimi domkami dla robotników, żłobkami, karami dobrowolnymi i t. d.—patronat, ten ulubiony środek kojący szkoły Le Play'a. Zwolennicy tego środka utrzymują stanowczo, że wydał już on znakomite rezultaty, pomimo to jednak wśród najwierniejszych nawet znaleźli się niebawem sceptycy, spoglądający z niedowierzaniem na wyniki działalności dotychczasowej. Przypuszczenie, że wszyscy przedsiębiorcy, którzy walczą dotąd zacięciem o każdy centym płacy i o każdy kwadrans pracy, przejęci raptem zostaną chęcią ofiary, a ci znowu, którzy uważali się dotąd za systematycznie krzywdzonych, w swym dotychczasowym wrogu zechcą uznać naturalnego obrońcę i przewodnika—przypuszczenie takie wydało się im zbyt śmiałym. Zwrócili się też oni w inną stronę i coraz widoczniej zbliżali się ku t. zw. „socjalizmowi państwowemu”, to jest poruczyli opiekę nad robotnikami już nie przedsiębiorcom, lecz państwu.

We Francji najwybitniejszym przedstawicielem tego drugiego kierunku jest hrabia de Mun. Dzięki jemu i jego kolegom prawodawstwo robotnicze we Francji, które dotąd napotykało niezwalczone trudności, pozyskało grunt odpowiedni i zaczyna się rozwijać. Odstępstwo jednak pana hrabiego od systemu dotychczasowego wywołało wielką burzę wśród obozu klerykalnego. Jeżeli miał on i ma dotąd gorliwych zwolenników, to ma tam również zaciekłych wrogów. Niedawno jeszcze arcybiskup Freppel piorunował przeciwko hrabiemu w swem piśmie z powodu nowej ustawy o pracy kobiet i dzieci. Hrabia de Mun bynajmniej jednak nie jest krańcowym. Taki np. kardynał Manning, pokrewny mu co do kierunku, idzie znacznie dalej. W roku zeszłym na kongres katolicki w Liege przysłał on list, w którym wystąpił z planem *a la* Rodbertus. Wyraził on mianowicie przekonanie

nie, że dla wprowadzenia i utrwalenia pokojowych stosunków między przedsiębiorcami i robotnikami niezbędnym jest wyznaczenie przez władze publiczne stopy zysku i płacy zarobnej. Konsekwentnie rozwinięte żądania „czerwonego” kardynała zaprowadziły musiały do tak radykalnej przebudowy społecznej, że kongres, pomimo należnego szacunku dla dostojnika kościoła, przeszedł nad listem kardynała do porządku dziennego.

W łonie wiernych kościołowi zaczęły tedy ścierać się dwa prądy, z których każdy uważał się za jedynie prawdziwy i zbawienny. W razach takich przyjęto oczekiwać decyzji ze strony najwyższej władzy duchownej—papieża. W danym wypadku oczekiwania były tym żywsze, że Leon XIII, który według pewnej przepowiedni średniowiecznej, odznaczał się ma szczególną mądrością, od lat 4 opracowywał encyklikę, kwestyi społecznej poświęconą. Opracowanie przedstawiało widocznie trudności wielkie, cofano bowiem kilkakrotnie zapowiedzi, donoszono o wprowadzanych wciąż zmianach i poprawkach. Zaczęto już tracić nadzieję, żeby mozolne to dzieło ukończonym zostało, aż wreszcie doczekano się...

Ci, którzy sądzili, że znajdą w dziele papieżem coś istotnie nowego, jakiś nieznan dotąd, a potężny środek leczniczy — zawiedli się okropnie. Leon XIII nie jest papieżem-apostołem, ani papieżem-reformatorem, jest on przede wszystkim politykiem, z domieszką erudyty i filozofa. To też jego encyklika nie jest natchnionem słowem, lecz uczoną rozprawą o prawowitości własności prywatnej, o niebezpieczeństwie interwencji państwowej w sprawach, w których jest ona niepotrzebna, o wolności osobistej i jej granicach i t. d. Dowiadujemy się więc, że „słusznym jest, żeby obywatel działać mógł swobodnie we wszystkim, byleby nie godził na dobro publiczne i nie szkodził innym”, że długość dnia roboczego musi się zmieniać stosownie do natury pracy, oraz warunków czasu i miejsca, że wartość płacy zarobnej określona być winna przez dobrowolną umowę przedsiębiorców i robotników. Leon XIII ograniczać się zdaje w ogóle rolę państwa do szczerpłego zakresu opieki nad kobietami i dziećmi, nadzoru za przestrzeganiem moralności i higieny w warsztatach, zwłaszcza zaś baczności nad zachowywaniem umów. Encyklika uznaje istnienie złego, żąda większego dobrobytu, większej pewności i większej sprawiedliwości dla mas, sądzi jednak, że to wszystko osiągnięciem zostanie za pomocą stowarzyszeń. Pod tym względem przypomina on dawne trades-unionsy angielskie, które odrzucają również współdziałanie państwa w przekonaniu, że same potrafią zmusić fabrykantów do zawierania takich „dobrowolnych” umów, jakie za potrzebne dla siebie uznają. Trades-unionsy jednak opierają swe nadzieje na stowarzyszeniach klasowych, papież zaś ma na myśli stowarzyszenia mieszane robotniczo-fabrykanckie, w rodzaju le playowskim. Pewien pisarz francuzki (Lafitte) powiada, że niesłusznie utrzymują, iż encyklika nie dała nic nowego, przeciwnie, roznieśli się ona po całym świecie katolickim wiadomością o istnieniu kwestyj społecznych, o ich wielkiej wadze i o niezbędności ich rozwiązania. Jest to, zdaje się, jedynę znaczenie, jakie przypisywać jej można. Ciekawem jest jednak, czy nie wpłynie ona poskramiająco na działalność hr. de Muna i jemu podobnych. W takim razie encyklika przyniosłaby, zdaniem naszym, zupełnie inne rezultaty, niż się w kołach wiernych spodziewano.

Duchowieństwo protestanckie pragnęłoby również odegrać pewną rolę w życiu i wśród niego więc w ostatnich czasach spotykamy dążenie do ujęcia kwestyi społecznej w swoje ręce za pomocą obrony pewnej części żądań robotników. Nie zastanawiając się obecnie nad podobnymi objawami we Francji i Szwajcaryi, zwrócić musimy uwagę na Niemcy. Na wiosnę roku zeszłego odbył się w Berlinie pierwszy kongres ewangelickich polityków społecznych i jednocześnie niemal założono wydawnictwo *Evangelische Sociale Zeitfragen*, składające się z broszur, poświęconych kwestyjom społecznym. W liczbie pisarzy, zasilających to wydawnictwo, spotykamy między innymi kilku zdolnych uczniów Schmollera i Brentano. W końcu maja r. b. odbył się również w Berlinie drugi kongres tego rodzaju. Więk-

szość zebranych stanowili pastory. Pod względem różnorodności kongres ewangelicki przewyższa wszelkie kongresy katolickie. Na ostatnich wszyscy zebrani mają wspólne dogmaty aż do nieomyślności papieżkiej włącznie, tu, przeciwnie, obok zagorzałych ortodoksów zasiadający tacy wolnomyślni teologowie, jak prof. Harnak, któremu zarzucają wprost ateizm. Pod względem przekonań społecznych równa różnorodność. Obok spokojnych miłujących zasiada taki zapalony agitator antysemitki, jak Stöcker. Rozprawy poświęcone były wielu kwestyjom poważnym, jak np. „Socjalizm i religija”, „Socjalizm i indywidualizm”, „Kwestyja robotników wiejskich” i t. p. Uchwały kongresu zmierzają głównie ku walce z „teoretycznym materjalizmem”, szerzącym się wśród robotników, poczęści z „materjalizmem praktycznym” klas wyższych. Pomimo to jednak mówcy przyznawali pewne zasługi demokracji społecznej. Prof. Herman utrzymywał, że ona to wychowała masy i nauczyła je myśleć o własnym położeniu swoim. Prof. Wagner wykazywał jej wpływ na prawodawstwo społeczne. Jako wielbiciel germańskiego ducha, z pewną dumą zaznaczył nawet szanowny profesor i długoletni współpracownik Bismarcka, że niemiecka demokracja łączy w jedną całość wszystkie zjawiska społeczne i ekonomiczne, gdy tymczasem robotnicy angielscy zwracają uwagę na poszczególne fakty, nie umiając wynaleść dla nich filozoficznego łącznika.

Mając możność zaledwie raz na dwa tygodnie zdawać sprawę z życia zagranicą, musimy wiele z tego, czem się w danej chwili żywo zajmują, pomijać milczeniem. Zauważyli zapewne czytelnicy, że nie korzystamy wcale z materjału, jaki dostarcza kronika sądowa, jakkolwiek wiele procesów budzi ogromne zainteresowanie publiczności, jakkolwiek dają one nieraz cenny materjał dla charakterystyki obecnego stanu społeczeństwa. Wolimy śledzić wzrost nowego, niż rozkład starego. Świeżo ukończony jednak proces Cumminga może mieć nawet znaczenie polityczne, nie możemy więc chociażby nie wspomnieć o niem.

W r. 1889 w Tranley Croft zebrało się wytworne towarzystwo angielskie z księciem Walii na czele i zabijało czas grą w baccarat. Następca tronu trzymał bank, szczęście sprzyjało szczególnie podpułkownikowi Cummingowi, kawalerowi wielu orderów i od lat 10-ciu przyjacielowi bliższemu ks. Walii. Jeden z obecnych odkrył tajemnicę szczęśliwego gracza: zręcznym ruchem ręki powiększał on stawki, gdy karta jego wygrać miała. Na razie zachowano dyskretne milczenie, dopiero nazajutrz podniesiono kwestyję wobec księcia Walii i zapronowano Cummingowi podpisanie obietnicy, że nigdy więcej grać w karty nie będzie, wzamian za co zobowiązano się nie rozgłaszać jego postępków. Oskarżony podpisał i wszystko by się na tem skończyło, gdyby pogłoski o oszustwie Cumminga nie rozszły się w towarzystwie. Cumming uczuł się wreszcie zmuszonym do położenia kresu pogłoskom i pociągnął do odpowiedzialności sądowej kilka osób rozsiewających ubliżające mu wieści. Sąd ostatecznie uchylił skargę Cumminga, przyznając tem pośrednio oszustwo z jego strony. Udział ks. Walii w grze hazardowej i w takim wytwornym wprowadzie, lecz nie zbyt uczciwym towarzystwie, późniejsze jego zachowanie się w całej sprawie, to pokrywanie oszusta, pozostawienie go tem samem w armii—wszystko to wraz z niedawno ujawnionymi ogromnymi długami, które, jak się obawiają Anglicy, mogą z czasem spaść na fundusze narodowe, wywołało wielkie niezadowolenie w społeczeństwie. Nawet ministerjalne dzienniki oświadczają, że należałoby zażądać od ks. Walii zobowiązania, iż nigdy więcej grać w karty nie będzie. Telegram dzisiejszy donosi nawet o zamiarze zrzeczenia się tronu przez księcia Walii.

Na zakończenie słówko o innym bardzo ciekawym w swoim rodzaju procesie w Berlinie. Przed sądem okręgowym stawał dziennikarz Luetgenau, oskarżony o obrazę majestatu. Powiedział on mianowicie na jednym z zebranych socjalistycznych, że, jeżeli sprawdzą się pogłoski o zamiarze abdykacji Wilhelma II na rzecz syna, będzie to zwycięstwem koalicyi przedsiębiorców nad monarchją, „który uznał sprawiedliwość idei socjalizmu”. Prokurator

sądził, że przypisywanie takich przekonań monarcharsze, który stoi po nad stronnictwami, jest obrazą. Sąd uniewinnił oskarżonego na tej zasadzie, że, po pierwsze oskarżony miał do pewnego stopnia prawo tak się wyrazić, gdyż zarówno reskrypty cesarskie, jak i konferencyja międzynarodowa uznały słuszność pewnych żądań demokracji społecznej, po drugie zaś oskarżony, przypisując cesarzowi przekonania swego stronnictwa, nie mógł mieć zamiaru obrazy cesarza, raczej przeciwnie wyrażał pochwałę i społecznocie.

J. H. Siemieniecki.

Korespondencyja „Głosu”.

Wilno.

Wilno w świetle cyfr statystycznych.

Niedawno pojawiła się u nas na półkach księgarskich ciekawa z tytułu książka: „Opyt mediko-topograficzeskago opisania goroda Wilny” przez lekarza Załkinda; jest to rozprawa na stopień doktora medycyny — próba zebrania w jedną całość i uporządkowania wszelkich statystycznych danych, dotyczących miasta Wilna. Należy przyznać, że p. Załkind miał nie mało trudności do zwalczania. Zarząd miasta jest tak niedbały i tak mało interesuje się statystyką, że autor był pozbawionym podstawowego materjału w wielu najżywoźniejszych kwestyjach.

Mając przed sobą cel poważny i naukowy, autor powinien byłby postarać się dopełnić niedostateczne dane badaniem samodzielnym, które jest daleko przystępniejsze dla dyletanta, t. j. niby badacza naukowego, niż dla zwykłego śmiertelnika. Niestety, samodzielności znajdujemy w rozprawie bardzo niewiele i często nawet widzimy jakby umyślnie omijanie społecznych warunków bytu mieszkańców; twierdzenie to udowodnimy niżej.

Pomijając geologiczno-topograficzną część rozprawy, opartą na pracach znanego w Wilnie geologa inżyniera, p. Giedrojcia, i luźnych obserwacjach samego autora, postaramy się zanotować niektóre pewniejsze i ciekawsze cyfry z działu statystyki.

Ostatni spis ludności w Wilnie miał miejsce w r. 1875; rezultaty jego starannie opracował p. Zinowijew, z którego pracy czerpie autor cyfry, dotyczące podziału ludności według stanów, religii, wykształcenia i t. d. Materjał zbyt stary, żeby mógł być ciekawym. Ostatnie 15 lat bardzo zmieniły Wilno. Najciekawiej się przedstawia kwestyja mieszkań. W roku 1875 liczono mieszkań:

		w Peters- burgu	w Berli- nie
1 pokojowych	5544 czyli 46,9%	18,9%	56,1%
2 „	2991 „ 25,3 „	16,8 „	22,1 „
3 „	1320 „ 11,2 „	18,2 „	10,3 „
4 „	777 „ 6,5 „	14,4 „	4,7 „
5 „	434 „ 3,7 „		
6—10 „	634 „ 5,4 „	31,7 „	6,7 „
10 i więcej pok.	77 „ 1,0 „		

Jak widzimy, przeważa ilość małych mieszkań i w tym względzie szczyć się możemy podobieństwem do stolicy praktycznych i oszczędnych kulturregerów. Od niedawna zaplanowała u nas gorączka budowlana; domy wyrastają jak grzyby po deszczu, jednak możemy twierdzić, że stosunek powyższy mieszkań zmienił się chyba pod tym względem, iż ilość mieszkań średnich zwiększyła się nieco.

Natomiast zaludnienie drobnych mieszkań nasuwa smutne wnioski o zdrowiu i dobrobycie mieszkańców. Z ogólnej liczby mieszkań 2342 jednopokojowych zajmuje 21,000 osób (9 osób na pokój), 396 dwupokojowych 5,600 osób (7 osób na pokój), 14 trzechpokojowych 400 osób (10 osób na pokój). W 3,321 mieści się po 1 rodzinie, w 1025—po 2, w 349—po 3 i w 177 po 4 rodziny.

Biorąc pod uwagę, że dostateczna ilość powietrza jest jednym z kardynalnych warunków higieny, możnaby sądzić, że takie przebudowanie małych mieszkań, świadczące, bądź co bądź, o wielkiej ilości proletaryjatu, pociągające za sobą musi mnóstwo chorób epidemicznych. Dodajmy jeszcze, że sanitarne warunki są w stanie opłakanym, niedbałość zarządu w tym względzie jest wzorową.

Całkiem niespodzianie okazuje się jednak, że zdrowotność miasta jest wcale zadawalniająca; choroby zakaźne rzadko miewają charakter epidemiczny.

Taki pocieszający wynik zawdzięczamy głównie dobrej wodzie i warunkom topograficznym.

P. Załkind wyprowadził powyższy wniosek ze statystyki 5 szpitali, która, właściwie, słabo ilustruje stan rzeczywisty, dzięki temu, że szpitale wileńskie dotąd są jeszcze postrachem ludności. Tylko pozbawieni całkowicie opieki domowej i zmuszeni ostatecznością biedacy udają się do szpitala, jeżeli przytem są w stanie zapłacić wymagane 7 r. 50 k. miesięcznie. Szpitale ogólnych mamy 2 dla chrześcijan, razem 180 łóżek i 2400 — 2600 chorych rocznie, oraz jeden żydowski od 1500—1600 chorych rocznie. Nie liczymy wojskowego i specjalnych szpitali. Oczywiście, że dla 110,000 mieszkańców taka ilość lecznic jest niewystarczająca.

Pobór wojskowy może też służyć za wskazówkę zdrowotności mieszkańców. Z roku 1877 do 1888 powołano do wojska 4453, z których przyjęto 2310; nie przyjęci tak się dzielą:

prawosławnych	138	czyli	50,9%
starowierców	28	"	26,2 "
katolików	782	"	40,7 "
protestantów	11	"	50,0 "
żydów	1184	"	55,5 "

Przeciętnie 48,1% ogólnej liczby. Najwięcej niedolnych do wojska okazało się wskutek braku zdrowia 28,1%, najmniej z powodu małego wzrostu. Jednych i drugich największy % dali żydzi. Z powodu niedojrzałości nieprzyjęto 16,1% — najwięcej prawosławnych. W gubernii zaś z powodu braku zdrowia nie przyjęto 15,51%, z powodu niedojrzałości 11,25%. Jak można było oczekiwać, stan zdrowotny wsi jest lepszym, niż miasta.

Wzrost rekrutów wskazuje pośrednio na dobrobyt ludności; przeciętny wzrost rekrutów prawosławnych — 168 i pół, katolików — 167, żydów — 164, dla ogółu 166 i pół.

Wykształcenie rekrutów tak się przedstawia:

w r. 1884	60%	niepiśmiennych
w r. 1885	60	"
w r. 1886	62,5	"
w r. 1887	56,6	"
w r. 1888	54,6	"

Postęp niewielki. Dla ogółu ludności, niestety, cyfr nie znajdujemy, są tylko dane z roku 1875; wtedy w Wilnie liczono niepiśmiennych między prawosławnymi 28%, katolikami 43,8%, starowiercami 87,5%, protestantami 12,8%, żydami 61,8%.

Najlepiej opracowaną jest śmiertelność za lat 14, od roku 1875 do 1888. W tym razie autor postarał się zebrać materiały obfite i pewny, który dał wynik następujący: na 1000 ludności umierało: prawosławnych 37,5, katolików 31,8, żydów 25,7, przeciętnie 29,7. Dla Cesarstwa znajdujemy cyfrę śmiertelności 36,7 na 1000, dla Królestwa 27,5, ztąd widzimy, że Wilno na wielką śmiertelność uskarżać się nie może.

Mniejszą śmiertelność wśród żydów, która daje się zauważyć i w innych miejscowościach, zamieszkanych przez nich, niektórzy badacze starają się wytłumaczyć większą troskliwością i poświęceniem się rodziców dla dzieci. W danym razie statystyka zbija podobne twierdzenie; oto jak się przedstawia u nas śmiertelność wśród dzieci na 1000 umarłych:

do roku — 337,7 prawosławnych 179,6 katol. 255,7 żyd.
od 2 do 5 lat 152,0 prawosł. 140,1 katol. 263,5 żydów.

Znaczna śmiertelność dzieci dorocznych prawosławnych tłumaczy się wpływem śmiertelności w domu podrzutków, gdzie przez 14 lat umarło około 1000 niemowląt, co stanowi więcej niż połowę ogólnej liczby 1,796 niemowląt prawosławnych, zmarłych w tymże czasie. Oczywiście, dzieci wśród żydów umiera najwięcej, wynagradza się to mniejszą śmiertelnością w wieku 21—30 i późniejszym, mianowicie:

21—30 lat 190,6 prawosł. 108,5 katolik. 44,2 żydów.
31—40 lat 69,8 prawosł. 76,7, katolik. 41,4 żydów.
41—50 lat 58,1 prawosł. 73,4 katolik. 48,7 żydów.

W późniejszym wieku umiera najczęściej ka-

tolików. Wielka śmiertelność prawosławnych i katolików w wieku 21—30 lat tłumaczy się wpływem śmiertelności wśród wojska. Wilno posiada wielki szpital wojskowy na 650 łóżek, do którego zwożą chorych żołnierzy z całego okręgu.

Przeciętnie ogólna śmiertelność tak się przedstawia:

w wieku	0—1 r.	—232,9
"	2—5 lat	—196,5
"	6—10 "	— 39,2
"	11—15 "	— 16,5
"	16—20 "	— 25,0
"	21—30 "	— 96,4
"	31—40 "	— 60,2
"	41—50 "	— 60,7
"	51—60 "	— 85,6
"	61—70 "	— 92,0
"	71—80 "	— 66,7
"	wyżej 80 "	— 28,5

Przeciętny stosunek śmierci niemowląt do liczby urodzeń za 14 lat jest następujący: umarło prawosław. 25,8% urodzonych

" katolików	16,1	"
" żydów	38,1	"

Ogólnie umiera 24,9 dzieci przed 1 rokiem życia na 100 urodzeń. Należy zastrzedz, że ostatnie cyfry nie są dość dokładne z powodu niemożności skonstatowania prawdziwej liczby urodzeń wśród żydów; wiadomo jest, że ci bardzo niedbale wpisują do ksiąg urodzone dziewczęta. Za 14 lat z 24,776 urodzeń u chrześcijan na 100 dziewcząt przypada 103,9 chłopców, z 11,500 urodzeń u żydów na 100 dziewcz. — 243,6 chłopców; cyfra niemożliwa. P. Załkind za pomocą prywatnych badań przyszedł do przekonania, że wśród żydów na 100 dziewcząt rodzi się około 107 chłopców.

Ciekawym faktem jest, że śmiertelność dziecienna dla miasta jest prawie dwa razy większą, niż we wsi: w mieście, 251,9 w gubernii 124,9 na 1000 urodzeń.

W Cesarstwie dzieje się naodwrot, tam śmiertelność po wsiach wzrasta do cyfr bajecznej: w permskiej gubernii 438,2%, w moskiewskiej 390,6%. Dla państw zaś europejskich znajdujemy następujące cyfry: Prusy — 165, Anglija — 140, Francuja — 163, Włochy 181, Austria 260,1.

Wartoby zbadać zależność śmiertelności dzieci od położenia społecznego rodziców. Niestety, u p. Załkinda prócz luźnych ogólników nic w tej kwestyi nie znajdujemy.

Niewątpliwie, tam śmiertelność wśród dzieci jest większą, gdzie matki również, jak ojcowie, muszą większą część dnia spędzać w pracy po za domem w fabryce, lub w handlu. Tem można wytłumaczyć wielkie cyfry dla gubernii moskiewskiej i permskiej, gdzie panuje wielki przemysł, i dla ludności żydowskiej, oddanej całkowicie handlowi.

Co się tyczy urodzeń nieprawych, to oficjalne dane wskazują cyfrę 10,8% ogólnej liczby urodzeń; przytem okazuje się, że u żydów, według ich ksiąg metrycznych, urodzeń nieprawych niebývá, gdy tymczasem sam p. Załkind przyznaje, że w szpitalu żydowskim miał 50% położnic niezamężnych. Ztąd możemy wnioskować, że żydzi nieprawie dzieci starają się natychmiast usynawiać(?) i zapisują jako prawe, a więc i ogólna cyfra nieprawych urodzeń powinna być znacznie większą.

Naturalny przyrost ludności w Wilnie jest dość niskim, w niektórych latach nawet można było zauważyć przewagę liczby śmierci nad urodzeniami. Ze statystyki za lat 14 widzimy, że przeciętnie roczna przewyższka urodzeń nad śmiertelnością stanowi dla prawosławnych 5,5, dla katolików 3,8 na 1000; dla żydów cyfra niewiadoma z powodu nieprawidłowego prowadzenia ksiąg metrycznych. Wiadomo tylko, że przez lat 14 liczba żydów w Wilnie wzrosła na 13,079.

Prostytucja, sądząc z oficjalnych danych, mało u nas rozwinięta. Według spisu z roku 1889, prostytutek w Wilnie było 207; ilość zbyt mała na 50,000 mężczyzn, z których 10,000 wojska. Według pochodzenia (i wyznań): katolicek — 87, żydówek — 80, prawosławnych — 24, protestantek — 12, starowierek — 4.

Według wieku:

nijżej 16 lat	—7
16—20 "	—84
20—25 "	—71
25—30 "	—31
wyżej 30 "	—14

Z nich piśmiennych 26. Przedtem zajmowały się rzemiosłami — 65, służbą — 89, reszta pracowała przy rodzinie.

Zajmuje się prostytutcją:
od roku 24
1—5 — 110
5—10 — 65
więcej niż od 10 — 8

Deflorowanych do 16 lat — 116, reszta w wieku od 16 do 20 lat.

Widzimy więc, że prostytutki tutejsze pochodzą głównie z klas niższych i praktykują stosunkowo dość długo.

Możnaby wnioskować, że choroby weneryczne nie są zbyt rozpowszechnione. Rzeczywiście, z zebranej przez p. Załkinda statystyki, chociaż niedostatecznej, widzimy, że choroby te ilościowo zajmują trzecie miejsce pomiędzy innymi i stanowią 9,7% ogólnej liczby. Procent stosunkowo do innych miast niewielki.

Zanotujemy jeszcze rozwój rzemiosł i przemysłu fabrycznego:

	rzemieślników	robotników fabr. fabryk	prócz wyrobników
w r. 1875	4,452		
" 1880	5,253	821	40
" 1884	5,996	1,116	59
" 1888	7,207	1,376	52

Cyfry powyższe nie są dokładne i tylko stosunkowo wskazują na rozwój rzemiosł i przemysłu. Szczotkarzy wskazano 19, kiedy właściwie jest ich więcej niż 60; szewców 924 i wobec tego 15 przygotowujących wierzchy do butów; pończosznic tylko 16 — gdy ich jest około 1,500. Widzimy ztąd, że dane oficjalne mogą być bardzo mylne, należy żałować, że choć w tej sferze przynajmniej p. Załkind nie postarał się o więcej pewne cyfry. Nieznajdujemy nawet podziału rzemieślników według wyznań. Ogólnikowe twierdzenie, że 2/3 rzemieślników stanowią żydzi, jest niewystarczającym.

Wogóle, należy zaznaczyć, że praca p. Załkinda byłaby o wiele cenniejszą i mniej szablona, gdyby autor choć trochę postarał się o samodzielne zbadanie położenia klas pracujących. Autor często boleje nad losem biedoty żydowskiej, a dla ilustracji jej życia nie daje, prócz paru wyjątków z dzieł cudzych.

Sam.

Przegląd społeczny.

Łódź. (Kor. „Głosu”). W numerze 20 *Głosu* przedrukowana była korespondencyja z Łodzi do *Gazety radomskiej*. Jest w tej korespondencyi mowa o wydaleniu (?) z fabryki Izraela Poznańskiego inżyniera p. Karońskiego znanego „ze skandalicznej sprawy o najście domu adwokata Łaganowskiego i nieludzkie obchodzenie się z robotnikami, wśród których z powodu jego usunięcia panuje radość niestychana”. Sprawę p. Karońskiego z p. Łaganowskim pomijam, to rzecz osobista, natomiast jego usunięcie z fabryki Poznańskiego należy wyjaśnić, bo z korespondencyi do *Gazety radomskiej* jakby wynika, że „znany z nieludzkiego obchodzenia się z robotnikami”, p. Karoński pobił biednego majstra, za co właściciel fabryki inżyniera z posady usunął. O tem, żeby p. K. „nieludsko” obchodził się z robotnikami, tu w Łodzi nie słyszeliśmy i żaden fakt tego rodzaju nie był nigdy publikowany. Jako dyrektor, p. K. jeżeli nie był lepszy, to nie gorszy od innych. Przynajmniej, podczas jego dyrektorstwa fabryka Poznańskiego wypłacać zaczęła daleko więcej wynagrodzeń robotnikom za poniesione przy pracy kalectwo, aniżeli poprzednio. Zająście zaś z majstrem Arltem, Niemcem, znanym istotnie z barbarzyńskiego postępowania z podwładnymi, o czem między innymi pisano i w *Głosie* — mogło tylko wzbudzić sympatyję dla p. K. wśród robotników. Żądał on stanowczo, aż by Niemca tego usunięto, gdy mu zaś odmówiono, wziął dymisyję, lecz nie został „wydalony”. *Summ critique* — nie chodzi mi o obronę p. Karońskiego, ale o prawdziwe oświetlenie charakterystycznego faktu, fałszywie przedstawionego w prasie. Dodam jeszcze, że gdyby p. K. tak zasługiwał się p. Poznańskiemu i gnębił robotników, to z pewnością obdarzony „delikatnym rozumem” pryncypał, nie pozbyłby się tak mu potrzebnego człowieka, kiedy Arlta pierwszy lepszy zdolniejszy robotnik może zastąpić. *Hende* 1).

1) Jakkolwiek zamieściliśmy tylko przedruk, dajemy powyższe sprostowanie, usunawszy zeń uwagi.

Radom. (Kor. „Głosu”). Kasa przemysłowców radomskich obchodzi w tym roku dziesięcioletnią rocznicę istnienia. Inicyjatywę do jej założenia podniesiono w roku 1868. W r. 1881 ustawa była już zatwierdzoną; w pierwszym zebraniu urządzonym w celu wyboru reprezentantów uczestniczyło 61 osób. Działalność swoją kasa rozpoczęła z funduszem 942 rs. W r. 1890 kasa liczyła 1,624 członków, których udziały wynosiły rs. 58,255 kop. 92. W tymże roku obrót gotowizny kasy dosiadał do 1,493,156 rs. 58 k. Pożyczek udzielono na sumę 870,869 rs. — Droga Dąbrowska w roku 1890-tym miała dochodu ogólnego 2,326,027 rs., rozchodu zaś — 2,020,532; czystego więc zysku droga otrzymała 305,495 rs.

Radomiak.

Z CESARSTWA.

Wilno (Kor. „Głosu”). Na ostatnim posiedzeniu dumy naszego miasta wznowiono sprawę tramwajów, która, przechodząc rozmaite metamorfozy, dotychczas do skutku dosyć nie może, pomimo, iż дума wyznaczyła komisję w celu ostatecznego jej rozstrzygnięcia. Komisja przy udziale p. Petelina, reprezentanta przedsiębiorcy p. Gorczakowa, przedstawiła nowy projekt umowy z przedsiębiorcą, wzamian uchwalonego przez dumę w roku 1888. Nie przytaczamy tu szczegółów projektu, sądząc, że właściwiej będzie traktować o nim, gdy ostatecznie uchwalony zostanie. Następnie дума zdecydowała oddać 1,000 kw. sążni ziemi na przedmieściu Łukiszkach pod budowę prawosławnej cerkwi wraz z plebaniją i szkółką cerkiewno-parafijalną. Na propozycję p. prezidenta miasta, aby ostatecznie rozstrzygnąć kwestyję prolongaty istniejącej obecnie komisji sanitarnej w naszym mieście, zażądano znowu odroczenia owej sprawy. Wówczas radny Jarzębski, były prezydent miasta, zabrawszy głos, energicznie żądał rozpatrzenia tego wniosku wskazując brak zaradności energii oraz oraz zupełną ospałość komisji sanitarnej, słowem kompletne zaniedbanie tak palącej i ważnej sprawy, jaką jest sprawa podniesienia zdrowotności miasta. Postanowiono zatem od niej rozpocząć przyszłe posiedzenie dumy. „Wileński Wiestnik w N. 112 podaje, że na cel postawienia w Wilnie pomnika b. generał-gubernatorowi hr. Murawiewowi, Naczelnik Kraju p. generał-gubernator Kachanów ofiarował wraz z urzędnikami swego zarządu rs. 200. W tymże numerze znajdujemy wiadomość o znalezieniu 21 maja (st. st.) o godzinie 6 wieczór koło domu Homolickiego położonego niedaleko letnich mieszkań t. zw. „Zwierzyńca” trup Riabkowa, który utonął w Wilii w czasie katastrofy 14 kwietnia r. b. z parostatkiem hr. Korwina-Milewskiego, o czem w swoim czasie pisało w „Głosie”. J. S.

Kijów. (Kor. „Głosu”). Z inicyjatywy, powziętej w ministerjum spraw wewnętrznych, kijowski generał-gubernator przystąpił do zbadania rolnych stosunków serwitutowych w guberniach należących do kijowskiego okręgu. W tym celu kancelaryja jego opracowała i rozesłała komisarzom (mirowym pośrednikom) schemat do zbierania odpowiednich wiadomości. Każdy z komisarzów obowiązany jest zbadać 3 nieuregulowane pod względem serwitów majątki ziemskie. W ten sposób ulegnie zbadaniu parę set majątków. Podobny schemat został jednocześnie rozesłany do badania związanych z tymi dworami za pomocą służebności gromad wiejskich. Szczegółowe pytania w pierwszym schemacie dotyczą rozległości majątku, wydajności ziemi, sposobu gospodarowania, rozmiaru praw serwitutowych i t. p.; w drugim—dotyczą odnośnych potrzeb ludu, które dają się ująć w cyfrach ludności w wioskach, utrzymywanego inwentarza i in. — W tych dniach komisja, złożona z gubernatorów południowo-zachodnich gubernij, pod przewodnictwem generał-gubernatora Ignatiewa obradowała między innymi nad środkami jaknajszybszego uregulowania sprawy czynszowików wiejskich. Postanowiono wzmocnić skład osobisty powiatowych komisji do spraw czynszowych w drodze delegowania kandydatów do posad „pośredników mirowych”, którzy wejdą do komisji w charakterze członków i przyspieszą rozstrzygnięcie spraw odnośnych. zt.

Z gub. Chersońskiej. (Kor. „Głosu”). W gub. chersońskiej i ościennych liczną jest dosyć klasa ludności wiejskiej, zwana „desiatyńszczykami”, byt której różni się zasadniczo od bytu innych warstw ludu. „Desiatyńszczyzy” są to rolnicy, urzędowo należący do stanu mieszczanńskiego, powstałi z byłych libertowanych chłopów, nie mający własności ziemskiej, a zamieszkujący w charakterze dzierżawców na ziemiach obywateli wiejskich. Nie tylko pole, uprawiane przez

desiatyńszczyka, lecz i chałupa, zamieszkiwana przezeń, stanowi własność obywatela. Stosunki wzajemne desiatyńszczyków i właścicieli ziemskich dokładnie poznane być mogą na podstawie kontraktów, pisywanych zawsze na jedną modłę. Treść takiego kontraktu zawiera zwykle następujące pozycje. Desiatyńszczyk płaci komorne za pojedynczą izbę 10 rs. na rok, za podwójną zaś 16 rs. Za prawo użytkowania z pastwisk dworskich płaci po 2 rs. 50 kop. od konia, krowy lub wołu, i po 60 kop. od owcy. Jeżeli zaś okaże się, iż desiatyńszczyk posiada więcej sztuk inwentarza nad liczbę, podaną przezeń do kontraktu, wówczas płaci za każdą nadkontraktową sztukę 6 rs. rocznie. Desiatyńszczyk nie może najmować jedynie chałupy z ogrodem bez pola ornego, przyczem o wyborze pola decyduje sam właściciel majątku. Osiedliwszy się na miejscu, desiatyńszczyk powinien uprawiać całe wydzielone mu pole, nie pozostawiając nic odłogiem. Jeżeli zaś pozostawi bez uprawienia choć część pola, musi zapłacić karę w ilości 10 rs. za każdą niezoraną desiatynę. Dzierżawne wypłaca się w naturze umówioną ilością zboża. Podług kontraktu desiatyńszczyk zrzeka się prawa wydzierżawiania jednocześnie ziemi w innych majątkach. Gdyby zaś przed upływem terminu kontraktowego wydzierżawił ziemię gdzieindziej, obowiązują się płacić karę pieniężną, norma której ustalona nie jest. W. R.

Z pow. taraszczańskiego, gub. kij. (Kor. „Głosu”). Przepelniający miasta lekarze uskarżają się na przymusowe bezrobocie; my tymczasem — prowincyja, uskarżamy się na brak lekarzy. Pomoc lekarska—to słaba strona bardzo wielu miejscowości w nas. Pow. taraszczański w szczególności jest upośledzonym pod tym względem; jedynie szpital i ambulatoryjum, założone i utrzymywane w Stawiszczu przez hr. Braniciego oddają ludności okolicznej ogromne usługi. W Stawiszczach mieszka dwóch lekarzy, otrzymujących pensyję od hr. Braniciego. W obec braku lekarzy po wsiach, dziwić się niepodobna, iż różni znachorzy znajdują wśród ludu mir i powodzenie. Chłopi chętnie zasięgają porady w Stawiszczach u lekarzy, z których jeden, należy dodać, udaje się reglarnie w pewnym dniu tygodnia do wsi Janyszówki, gdzie udziela porady ściągającym tam z dalszych nawet okolic chłopom. W razie cięższej choroby, odwiedza chłopą w domu felczer, a czasem i lekarz. Charakterystycznym jest, iż lekarze w Stawiszczach prowadzą staranną statystykę chorób, pomimo iż są zawaleni pracą—W powiecie naszym, z inicyjatywy komisarzy włościańskich odbywać się zaczęła mustra włościan zaliczonych do pospolitego ruszenia. Owa mustra odbywa się pod wytrawnym kierownictwem feldfeblów dymisyjonowanych. C. R.

Petersburg. Ministerjum spraw wewnętrznych opracowało nowe przepisy o dozorcze medyczno-sanitarne w fabrykach. Wszystkie fabryki, odległe o 8 wiorst od miasta, obowiązane mieć będą większe zakłady, szpitale na 10—14 łóżek, mniejsze ampulanse na 10 łóżek, oraz aptekę, felczera i stałego lekarza, na miejscu zamieszkałego. — Powstał projekt upaństwowienia aptek, w celu dostarczenia lekarstw. Przy aptekach dezurawaliby lekarze, obowiązani do bezpłatnej porady, za co otrzymywaliby pensyję od rządu. — Ziemscey naczelnicy powoli wprowadzani są w całym państwie. W gubernii wiackiej wynika niespodziewana trudność. Nie ma tu wcale własności szlacheckiej, kilka wielkich dóbr znajduje się w ręku kupców w powiatach południowych, tymczasem na guberniję przypada 100 ziemskich naczelników. — Francuzka wystawa nie cieszy się dotąd takim powodzeniem, jakby się można było spodziewać. Wielkiego hałasu narobiła w swoim czasie sprawa hurtowej odprzedaży 2,000,000 biletów wejścia niemcowi Grünwaldowi. Obecnie znowu ucieczka paryżkiego bankiera Jonannot, który był finansowym kierownikiem wystawy, zaniepokoiła wystawców. Dzienniki zapewniają wszakże, że ucieczka nie wpłynie na losy wystawy. — Ruch emigracyjny wśród żydów wzrasta. Najbezsensowniejsze pogłoski znajdują wiarę. W Bessarabii np. przerażenie wywołało wieść o zamierzonej jakoby konfiskacie wszystkich kapitałów żydowskich, ulokowanych w kasach oszczędności, bankach i t. p. Obecnie przyjechał do Petersburga delegat barona Hirscha, White, który organizuje emigrację żydów do Południowej Afryki. Plany White'a zostały przychylnie przyjęte i *Journal de St.-Petersbourg* życzy jego przedsięwzięciu wszelkiego powodzenia. — Z Odessy wysłana została pierwsza partya 450 robotników z kilku technikami i niezbędnymi materyałami dla budowy usuryjskiego oddziału syberyjskiej drogi żelaznej — Pani Iwaszincewa otwiera w Petersburgu we wrześniu kursa handlowe dla kobiet. Na kursa przyjmowane będą kandydatki ze świadectwem z ukończenia gimnazjum. Lekcje odbywać się będą wieczorem, kurs nauk trwać będzie dwa lata. Zakład postawiony będzie bardzo poważnie. — Rząd turecki zamierza otworzyć w Petersburgu muzeum i skład wyrobów tureckich. Sprawozdanie za rok ze-

szy wykazuje upadek handlu odeskiego. Zboża wywieziono zaledwie 89 milij. pudów, t. j. o 16 mil. mniej niż w roku poprzednim a o 30 niż w r. 1888. W roku bieżącym jest jeszcze gorzej. Eksport sewastopolski upadł jeszcze bardziej (z 25 na 13 milij.).

Z ZAGRANICY.

Kraków. (Kor. „Głosu”). Zjazd „kółek rolniczych” w Tarnowie zgromadził dość licznych uczestników, którzy obradowali pod przewodnictwem p. B. Augustynowicza. Po referacie d-ra Prażmowskiego „O potrzebie zaprowadzenia kontroli nad zakupywanymi przez kółka nasionami” nastąpił, z daniem naszym, najważniejszy moment zjazdu, t. j., odczyt prof. d-ra Stefczyka z Czernichowa, w sprawie poparcia działalności sklepików chrześcijańskich. Referat proponował złączenie się wszystkich „kółek” i sklepików oraz spółek wytwórczych włościańskich w jeden związek krajowy, oparty na udziałach ze wspólną gwarancją dla członka do wysokości zgłoszonego udziału. Takiej organizacji wymaga, podług d-ra Stefczyka, wrastający import, a potrzebę tę odczuły już niektóre zarządy powiatowe i zajęły się organizacją handlu w swych okręgach. Pomijając resztę mniej ciekawych odczytów, należy zauważyć, iż przy powitanii członków zjazdu wypowiedział biskup tarnowski ks. Łobos mowę, skierowaną gwałtownie przeciw kandydatom poselskim włościan. Oracyję tę przyjęli zebrani bardzo chłodno. — Komitet wykonawczy fundacyi Hirsza przyjął do wiadomości ukonstytuowanie się komitetu szkolnego w Tarnowie i ułożył zasadnicze punkta działalności, a mianowicie uchwalił w pierwszym rzędzie zakładać szkoły freblowskie lub ochronki dla dzieci od 4-go roku życia, oraz zakłady przemysłowo-rękodzielnicze dla młodzieży płci obojga. W celu ewentualnego pomieszczenia stypendystów fundacyi w zakładach krajowych upoważniono prezydium do porozumienia się z wydziałem krajowym lub krajową komisją przemysłową co do miejsca i warunków przyjęcia. Młodzież, o ile nie mogłaby być umieszczoną w specjalnych przez komitet utrzymywanych, zakładach, będzie otrzymywała stypendyja celem studiów w innych uczelniach. Rada miasta Krakowa obchodzi 25-letni jubileusz bezpłodnego rajcowania. W ciągu ćwierci wieku zapadały tam przeróżne uchwały „przekazujące rozmaite sprawy do rozpatrzenia komisjom, sekcjom, ankietom i t. d.”. Rzadko kiedy zdobyła się nasza reprezentacyja na myśl zdrową i oryginalną, nie podszytą stronnictwem interesem lub chęcią „przypodobania się” wpływom jednostkom. Obecnie budżet miasta znajduje się w najopłakawszym stanie, deficyt rośnie, o dawno przyrzeczonych wodociągach, nowych budowlach szkolnych, porządkach miejskich ani słyhać; wszystko tak, jak było, tylko się ku starości jeszcze bardziej pochyliło. Pomimo pustek w kasie, rada przyzwala na bezpożyteczne, wprost śmieszne wydatki. Np. kilka dni temu wyjechała do Paryża deputacyja z prezydentem na czele dla wręczenia dyplomu honorowego ks. A. Lubomirskiemu za dwie piękne fundacyje. Nikt nie zaprzecza zasług ofiarodawcy, ale dyplom mógł mu wręczyć, równie uroczysto, ktoś, upoważniony do tego w Paryżu przez radę krakowską. Nie zmieniłoby to absolutnie faktu, a kasa miasta zaoszczędziłaby sobie kilkaset zlr., które należało w innym kierunku zużytkować. Przed kilku dniami utworzył się tu komitet, celem opracowania „historyi” (!) ćwierćwiekowej działalności Rady. — Dwie instytucyje akademickie „Biblioteka uczniów prawa” oraz „Towarzystwo wzajemnej pomocy” obchodzą w bieżącym tygodniu jubileusze: pierwsza 40-letni, druga zaś 25-letni. Przy tej sposobności odsłonięty będzie w uniwersytecie portret przedwcześnie zgasłego M. Piericha. — Pojutrze, tj. 18 b. m., jak już wiecie, rozpoczyna się tutaj proces pp. Feldmana, Breitera i tow. Oskarża prokurator dr. Tarlowski, obronę zaś wnoszą adwokaci: Boroński, Eichhorn, Lilien i Schallay. Proces potrwa 10 dni. — Burze gradowe zrzuciły we wschodniej Galicyi straszne spustoszenia. Włościanie znajdują się w rozpaczliwym położeniu. O akcyi ratunkowej nic dotąd nie słyhać, natomiast „mianowania biegów wysycigowych” na dz. 28 b. m. idą, wedle dzienników, „pocieszająco, a „łozę po 20 zlr. „rozchwytyano w ciągu kilku dni”. Twierdzeniu „Myśli”, że w Galicyi należałoby przedewszystkiem założyć towarzystwo oświaty dla t. zw. „inteligencyi” nie można odmówić słuszności. — Zjazd lekarzy i przyrodników w połączeniu z wystawą sanitarną zapowiada się niezwykle świetnie. *Voz.*

Lwów. (Kor. „Głosu”). Burze gradowe poczyniły największe spustoszenia w pow. tarnopolskim, gdzie zasiewy zniszczone są zupełnie. Grad grozi wieśniakom. Szczegóły kłęski, jakie nadchodzą z tamtych stron, przedstawiają się w niepamiętnie groźnym świetle. Budynki powalone, dęby powyrywane, wiele o-

dotyczące korespondenta. *Gaz. Rad.* Wkrótce własny nasz korespondent, którego prosiliśmy o to, sprawę całą dokładnie przedstawi. *Red.*

sób zabitych i pokaleczonych. Równie wielkie szkody przyniosły burze w brzeżańskim i t. d. O pomocy materialnej nie slychać, dzienniki jeno skwapliwie notują szczegóły „kłęsk elementarnych”, ku zbudowaniu swych, obojętnych na nędzę ludzką, czytelników. Innym razem—rady powiatowe dają przykład; dziś i te instytucje innemi zajęte sprawami.—W gmachu sejmowym obradowała wczoraj ankieta w kwestyi reformy ustawy gminnej dla wsi, w szczególności zaś co do wykonywania policyi miejscowej. Dyskusja oparła się na projekcie departamentu gminnego wydziału i potrwa kilka dni.—Pod budowę „Domu dla nieuleczalnych” położono wczoraj kamień węgielny.—Biskupem stanisławowskim (unickim) zostaje sufragan przemyski ks. Julian Kułowski.—Przemyskim biskupem zamianowany został ks. Pelesz.—Rektorem lwowskiej politechniki obrano wczoraj na r. 1891/92 prof. Karola Skibińskiego.—Wydział krajowy ogłasza konkurs na dwa premia dla literatów *tm. Fr. Kochmana*. Termin konkursu upływa z dniem 31 marca r. p. Nagrody wynoszą, 1-a 1,000 złr., 2-a 500 złr. O nagrody ubiegać się mogą dzieła jakiegokolwiek treści, z wyjątkiem religijnej i teologicznej. Wydawnictwa historyczne i bibliograficzne będą uwzględniane tylko wówczas, jeśli oparte będą na studyjach samodzielnych. *Lambda.*

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Kwestya żydowska, tak długo nieuznawana, stała się wreszcie przedmiotem powszechnego zainteresowania. Niema tygodnia, któryby nie przyniósł coś nowego w tej sprawie. Z jednej strony powtarzają się wciąż utyskiwania na napływ żydów z Rosyi. Tak np. interpelował w tej sprawie rząd węgierski deputowany Czatar, angielski zaś Jennings. Ten ostatni otrzymał odpowiedź, że imigracyja się zmniejsza i że konsulowie angielscy dokładają wszelkich starań, żeby wyjaśnić żydom, jak ciężkie warunki czekają ich w Anglii. Anglo-Jewish Association wysłała Adlera do Berlina w celu zapobieżenia napływowi żydów do Anglii. Z drugiej strony cała prasa europejska żywo dyskutuje wciąż nowe projekty kolonizacyi żydowskiej na wielką skalę. W pismach niemieckich spotykamy krytykę planu przesiedlania żydów do Kongo. Nie bez słusności może są uwagi, dowodzące, że klimat tamtejszy byłby nieodpowiedni i że pobyt tam skazałby rasę semicką na powolne wymieranie. Ważniejszym jest ogłoszony świeżo list lorda Salisbury'ego do Rotszylda, obiecujący poparcie projektu przesiedlenia do Palestyny wobec rządu tureckiego. Zauważmy też, że wychodźstwo żydów z Korfu trwa w dalszym ciągu. Bezsronne wyświetlenie sprawy zaburzeń na tej wyspie o ile dowodzi, że oskarżenie żydów miejscowych o zabójstwo dziewczyny chrześcijańskiej było bezpodstawnem, o tyle też przekonywa, że żydzi tamtejsi nie byli wcale „wyzyskiwani” przez chrześcijan, jak utrzymuje nasz *Izraelita*, lecz że, przeciwnie, stanowili oni tam takż sam żywił pasorczytnicy, jak u nas.

W sejmie pruskim podjęta raz jeszcze została kwestya ceł zbożowych. Wolnomyślni wezwali rząd o przedstawienie danych, zebranych przezeń o zapasach zboża, znajdujących się w kraju i o widokach urodzaju. Rząd odmówił wszelkich wyjaśnień i na tem się sprawa skończyła. W czasie jednak debatów cała kwestya ponownie wyjaśniona została. Przeciwnicy obniżenia dowodzili, że również wysokie ceny zdarzały się poprzednio, co jest istotną prawdą, nie jest wszakże żadnym dowodem, iżby korzystnem było dla ludności płacić wysokie ceny, mogąc zmniejszyć je znacznie za pomocą zawieszenia ceł. Porównanie cen na rynkach berlińskim i londyńskim przekonywa, że na najmniej $\frac{1}{3}$ cła opłacać muszą spożywcy niemieccy. obrońcy systemu dzisiejszego dowodzili, że drożyznę powodują głównie spekulanci i piekarze, wyznaczający na pieczywo ceny nieproporcjonalnie do cen zboża wysokie. Jeden z przeciwników dowodził, że cła są pożyteczne li tylko dla własności większej, że dla ogółu ludności korzystniejszym byłoby wypłacanie wprost z kasy państwa zapomóg ziemianom.

W izbie panów rozprawiano o komisji kolonizacyjnej. Pan Kościelski ubolewał nad stratami, jakie komisya ta powoduje. W r. z., jak utrzymywał, straty wyniosły 1,000,000 marek i niema nadziei, iżby zmniejszyły się one na przyszłość. Przyczyną tego jest usunięcie żywił miejscowego, który pod względem finansowym byłby najdogodniejszym kupcem. Rząd wyrażał nadzieję, że straty się zmniejszą, dodając zapewne w duchu, że Niemcy o tyle są bogate,

iż dla celów walki narodowościowej mogą poświęcić 1,000,000 marek corocznie. Zauważmy, że prywatne lekcje języka polskiego w szkołach już się rozpoczęły, że jednak wydano rozporządzenie, iż w gminach dostatecznie już ziemczonych lekcye te dopuszczane być nie mogą.

Kwestyje celne są na porządku obrad izby francuzkiej. Nader ważnem jest uchylene przez izbę cła na jedwab i kokony, którego się domagała komisya celna a przeciw któremu nader energicznie protestowali mieszkańcy Lyonu i okolic. Przyczyną uchylene cła jest fakt, że produkcya jedwabiu we Francyi jest dla celów przemysłu tkackiego nie wystarczającą. Jednocześnie przyjęła izba projekt udzielania 50 centymowego premium za kilogram kokonów, wyprodukowanych we Francyi.

Kwestya czasowego obniżenia cła na zboże wywołała nieporozumienie między izbą a senatem. Ten ostatni zażądał natychmiastowego obniżenia cła, izba uparła się przy brzmieniu pierwotnem, wyznaczającym dzień 1 sierpnia, jako początek tego obniżenia.

Rząd angielski przygotowuje się widocznie do wyborów. Projekt bezpłatnego wykształcenia elementarnego został już wniesiony do izby gmin. Jednocześnie rząd zawiesił prawa wyjątkowe w całej Irlandyi, za wyjątkiem jednego hrabstwa (powiatu) i kilku gmin. Balfour z wielką energią dowodził na zebraniu kobiecej ligii liberalno-unionistowskiej, że uspokojenie Irlandyi przypisać należy rozumnej polityce rządowej i że tylko co uchwalone prawo o wykupie ziem irlandzkich zarówno w interesie bezpieczeństwa pieniędzy angielskich, jak i fermerów irlandzkich, wymaga dalszego istnienia unii prawodawczej wysp siostrzanych.

Przestały również istnieć prawa wyjątkowe w Wiedniu, z czego skorzystali już socjaliści, urządzając mityngi publiczne. Jakiśmy pisali, rząd wniósł nowe prawo ograniczające, obecnie jednak, jak donosi telegraf, wycofał go, widocznie w celu wprowadzenia zmian i poprawek. Rozprawy budżetowe rozpoczęły się już w wiedeńskiej radzie państwa, pomówimy o nich w przyszłym tygodniu.

Pewne zaniepokojenie wywołała wiadomość o zatargu ministrów greckich z franciszkanami w Betleem, zatargu, do którego wnięszali się władze tureckie, przyjąwszy stronę greków. Francya, jako urzędowa przedstawicielka katolicyzmu na Wschodzie, wystąpiła z energiczną obroną pokrzywdzonych. Ponieważ Rosya otacza opieką prawosławnych, obawiano się więc, iżby nie wyniknęły ztąd nieporozumienia między dwoma temi mocarstwami. Jak się zdaje jednak, nadzieje wrogów przymierza rusko-francuzkiego nie sprawdzą się. Sprawa została załagodzoną, gazety zaś ruskie winę zatargu przypisują grekom.

Wrogie wystąpienia ludności chińskiej przeciw misjonarzom chrześcijańskim ponawiają się wciąż, posłowie francuzki i amerykański wystąpili z energicznym protestem, grożąc bombardowaniem miast.

Świeżo odbyte wybory w Holandyi wypadły na korzyść liberalów, jakkolwiek rezultat wyborów ściślej-szych zmienić może wyniki. Wybrano 41 liberalów, 11 protestanckich „anty-rewolucjonistów” i 22 katolików. W 26 okregach odbędą się wybory ściślej-sze. Znany socjalista Domela Nieuwenhuys podlega również powtórnemu głosowaniu.

W Yemen (w Arabii) wybuchło powstanie przeciw sultanowi.

Podpisana została umowa anglo-amerykańska, regulująca połów fok na morzu Behringa.

Administracyja fundusów papieskich została zniesioną, ponieważ okazały się straty wskutek gry na giełdzie (jak utrzymują jedni), czy też wskutek nadużycia zaufania ze strony osób, otrzymujących pożyczki ze skatuly papieża.

Otwarcie nowego kościoła na wzgórzach Monmartre, górujących nad Paryżem, wywołało nieznaczne zaburzenia uliczne. Kuzyn rabina paryzkiego p. Dreyfus wraz z innymi deputowanymi, z których jest kilku wyznania mojżeszowego, założył w izbie protest przeciw „nowemu objawowi fanatyzmu katolickiego”.

KRONIKA Powszechna.

— **Rozporządzenia rządowe.** Ministeryjum spraw wewnętrznych wezwowało gubernatorów do udzielenia swych opinij co do zamierzonego utworzenia posad obrońców dla włościan. Obrońcy ci mają korzystać z praw służby rządowej, a obowiązkiem ich będzie brońić spraw włościan do wysokości 500 rs. bezpłatnie, zaś

od spraw przewyższających tę sumę wolno im będzie pobierać pewien procent na rzecz własną. Z chwilą utworzenia posad obrońców w sprawach włościańskich wszelka działalność doradców pokątnych będzie stanowczo wzbronioną.—Ministryjum spraw wewnętrznych uznało za możliwe uwzględnić żądanie ministeryjum skarbu o do zniesienia w miastach specjalnego stanu rzemieślniczego, ale zarządzenia odnośnie będą czynione stopniowo i zastosowane najprzód w miastach, w których, ze względu na stan i warunki rzemiosł, okaże się to możliwem.—W celu utrzymania w ogrodach miejskich, parkach i na skwerach zupełnego porządku, warszawski oberpoliomaszter, generał-major Klejgels, polecił podwładnej sobie policyi zwiększyć nadzór nad temi miejscami, zwłaszcza w Ogrodzie Saskim, w którym, częściej niż gdzieindziej, daje się zauważyć nieprzyzwoita swawola i wybryki dzieci, a zwłaszcza chłopców, przychodzących tam bez rodziców i opiekunów.—Ponownie zabroniono gromadom włościańskim wydawania zbiorowych postanowień, zezwalających na dokonywanie wszelkiego rodzaju poszukiwań i rozkopywań ziemi na gruntach gromadzkich w celu odnajdywania ukrytych skarbów i zabytków, gdyż prawo to zostało wyłącznie oddane na gruntach włościańskich i skarbowych istniejącej w Petersburgu Cesarzkiej komisji archeologicznej.—Dzienniki petersburskie donoszą, iż ministeryjum finansów po zrewidowaniu przepisów, dotyczących się przemysłu, handlu i rzemiosł, zamierza je o ile możności ujednostajnić w ten sposób, aby zwłaszcza przepisy o przemyśle fabrycznym można było zastosować i do rzemiosł, bez konieczności wydawania oddzielnych ustaw rzemieślniczych.—Prawo z d. 3 (15) czerwca 1889 r. dotyczące dozoru nad fabrykami i zakładami fabrycznymi, stosunków wzajemnych fabrykantów i robotników, wreszcie powiększenia składu inspekcji fabrycznych, ma być rozciągnięte i na gubernije Królestwa Polskiego.—Prawo z d. 18 lutego (2 marca) 1889 r., dotyczące odpowiedzialności członków Rady państwa, ministrów i głównych kierowników w specjalnych wydziałach administracyi, ma być zastosowane i do generał gubernatorów, oraz głównego wielkorządy Kaukazu.

— **Kronika społeczna.** „Now. Wremia” donosi, iż ministeryjum sprawiedliwości zajęte jest kwestyją rewizyi ogólnej dla wszystkich sądów instrukcyi, dotyczącej się kontrolowania więzień.—Do departamentu lekarskiego ministeryjum spraw wewnętrznych wniesiono projekt uregulowania handlu aptekarskiego, a to przez przejęcie tego handlu na rzecz skarbu. Wiadomość tę podają „Petersb. Wied.”.—Zarząd czasowy państwowych dróg żelaznych opracował projekt ogólnej dla wszystkich dróg państwowych kasy emerytalnej dla starych lub okaleczonych oficyalistów kolejowych.—Statuta Towarzystwa wzajemnej pomocy subjektów i techników w fabrykach Tomaszowa Rawskiego zostały Najwyżej zatwierdzone.—W drugiej połowie b. m. i w lipcu, w pracowni chemicznej Muzeum przemysłu i handlu, prowadzony będzie pod kierownictwem d-ra Milicera kurs ćwiczeń praktycznych, których celem będzie ocena wartości technicznej materyjłów surowych i produktów przemysłu cukrowniczego. Do programu kursów wchodzi: rozbiory chemiczne wód, materyjłów opalowych, wapieni, węgla kostkowego, superfosfatów, gazów saturacyjnych, soku buraczanego i produktów cukrowych. Kursy rozpoczną się w d. 15 b. m., zapisac się może na nie tylko 10 praktykantów.—Zawiazuje się w Warszawie stowarzyszenie, którego zadaniem będzie urządzanie między innemi peryjodycznych wycieczek do różnych miejscowości kraju, celem dokładnego zapoznania się z topografią tegoż.—Deputacyja włościan z powiatu zloczowski w Galicyi była w tych dniach na audjencyi u namiestnika z prośbą, żeby władze nie robiły włościanom trudności w wydawaniu paszportów na podróż do Brazylii. Na przedstawienia, robione im, że w Brazylii nie jest tak dobrze, jak myślą i że tam pogina z głodu, włościanie odpowiedzieli: „Nam już wszystko jedno”.

— **Kronika ekonomiczna.** W ciągu ubiegłego roku bank włościański wydał trzy pożyczki w gub. lubelskiej. I tak 12,000 rs. otrzymało konsorcjum, złożone z 33 włościan, którzy nabyli folwark Zielona Góra, obszaru 617 morgów. Włościanie wsi Olszówka i Babin, pow. lubelskiego, otrzymali 3,692 rs. dla nabycia 64 morgów. Nakoniec 17 włościan, wsi Czólna, pow. lubelskiego otrzymało 4,560 rs. dla zakupienia 88 morgów gruntów tejże wsi. Z własnych fundusów placą przy tej transakcyi włościanie 5,850 rs.—Podatek gildyjny w gubernii piotrkowskiej oznaczony został na rs. 128,000. Najwięcej dochodu wykazuje powiat łódzki, mianowicie rs. 66,000, będziński rs. 32,000, częstochowski rs. 11,000, łaski rs. 6,500, noworadomski rs. 3,050, piotrkowski rs. 2,200, najmniej, bo rs. 350, rawski.

— **Szkoły i oświata.** Ministeryjum oświaty wydało pozwolenie na otwarcie w Petersburgu kobiecych kursów handlowych. Otwarcie nastąpi we wrześniu. Założycielką jest pani Iwaszyncowa, a przedmiotem wy-

kładów będą: buchalterya, korespondencyja handlowa, prawo handlowe, przemysłowe i handlowe, geografia handlowa, ekonomija polityczna i języki: francuzki i niemiecki, a angielski za osobną zapłatą. Uczennice gimnazjów mają wolny wstęp na kursa, które trwają lat dwa. Opłata roczna rubli 100. — W następstwie pewnych zmian w ustawie Towarzystwa wychowawców warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, władza edukacyjna wydała rozporządzenie, ażeby osoby, zaliczające się do zarządów tychże Towarzystw głuchoniemych i ociemniałych, przed objęciem obowiązków przedstawiane były za pośrednictwem dyrektora Instytutu do zatwierdzenia kuratora okręgu naukowego. — „Petersb. Wied.” donoszą, iż stała komisya do spraw wykształcenia technicznego poruszyła kwestyję opracowania normalnej ustawy szkół profesjonalnych żeńskich.

— **Literatura i sztuka.** Naczelnym kierownikiem repertuaru dramatu i komedyi mianowany został w d. 13 b. m. p. Józef Kotarbiński, reżyserami zaś pp. Jan Tarkiewicz i Bolesław Ładnowski. — Walerego Elijasza „Przewodnik do Tatr, Pienin i Szczawnicy” ukazał się w czwartym wydaniu. — Na wystawie Towarzystwa sztuk pięknych pomieszczono obecnie zbiór akwarel K. Millera. Składa się on z 70 sztuk. — Prof. Teodor Wierzbowski ogłosił poprzedzony własną przedmową: Jana Ostroroga „Pamiętnik ku pożytkowi Rzeczypospolitej zebrany”. — Pismo „Sport” staje się kwartalnikiem o treści pedagogicznej — w swoim zakresie.

— **Bożaitości.** Dowiadujemy się, iż sprawa urządzenia czytelnicy w pociągach pasażerskich została zdecydowana, mianowicie, w każdym pociągu mieścić się ma biblioteka i czytelnia, z której na żądanie jadący będą mogli otrzymywać książki i gazety za pewną opłatą. Wynajem książek i gazet oddawany będzie przez zarząd kolei przedsiębiorcom, opłata zaś za używalność biblioteki oznaczoną ma być przez ministerjum oddzielnie za tom książki i egzemplarze gazety. — Wkrótce zaczną obowiązywać przepis, wzorowany na tego rodzaju urządzeniach pocztowych, istniejących w Prusach, iż listy zwyczajne i przesyłki pod opaską obowiązani będą

zabierać (byleby już były frankowane) pocztolioni dyliżansów pasażerskich, zaczawszy od 1/2 wiorsty od stacyi, w miastach zaś listonosze obowiązani będą zabierać na pocztę, doręczaną im korespondencyję zwyczajną. — Niedawno, jak donosi „Kijewlanin”, włościanie wsi Lebedyna, w pow. czehryńskim uchwalili wysłać na osiedlenie w Syberyi 10-u niepoprawnych złodziejęw końskich, nie cofając się przed znacznymi kosztami, jakie za sobą pociągnie wykonanie tej uchwały. — Ministerjum spraw zagranicznych powzięło projekt założenia w Syryi kilku szkół ruskich, na wzór istniejących już w Palestynie, do których uczęszcza wiele dzieci arabskich. — Zakopane z każdym rokiem rozszerza się. Od roku zeszłego przybyło tam około 60 nowych budynków. W łazienkach zaprowadzono wodociągi. Wszystkie aparaty natryskowe i basenowe, tworzą wygodną całość. Wspaniale przedstawia się zupełnie już wykończony zakład leczniczy d-ra Chramca. Wreszcie uporządkowano drogi, które były dotąd najsłabszą stroną Zakopanego.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

P. S. w Wład. „Gawędy” i nr. 5 z r. 1889 wysłaliśmy.

P. M. Prosimy o pofatygowanie się do redakcyi.

P. J. K. w Ludze. „Socjologiję” Spencera wysłaliśmy, rachunek zakomunikujemy listownie.

P. M. S. w Baku. „Tygodnik Mód” nie przyjął prenumeraty na kwartał od czerwca, zapisaliśmy więc od lipca. Dalszego ciągu „W r. 2000” niema, posyłamy natomiast nową powieść tegoż autora: „Sposób d-ra Heidenhoffa”. Rachunek: „Tygodnik Mód” rs. 1 kop. 25, „Kuryjer Codzienny” rs. 2 kop. 25, „Kolce” rs. 2 Heidenhoffa z przes. rek. 61 kop., na „Głos” zapisaliśmy 3 rs. (do 1 października) pozostanie nam pan winien 11 kop.

P. Ch. w Koz. Za omyłkę przepraszamy, 2 zeszyt „Inst. Pol.” wysyłamy.

P. B. w Chod. Zeszyt 3 „Inst. Pol.” i nr. 48 z r. z. wysłaliśmy. Spisu rzeczy, niestety, już nie posiadamy. Na resztę zapytań odpowiadamy listownie.

P. Marciniowi M. Do ostatniego czasu przyjmowano na politechnikę w Karlsruhe obcych poddanych ze świadectwem z 6 u klas. Obecnie robią pewne trudności, najlepiej więc udać się wprost z zapytaniem do zarządu („An das Rectorat der Grossherzoglichen Technischen Hochschule zu Karlsruhe (Baden)”). Egzamin, w razie świadectwa niezupełnie wystarczającego, może być wymagany. W danym wypadku może być wymagana trygonometryja. Świadectwo takie wystarcza dla innych politechnik niemieckich (np. dla akwizgrańskiej). Kurs 4-letni. Wykłady rozpoczynają się 13 października, w początku więc tego miesiąca należy już być na miejscu. Skromne utrzymanie kosztuje 60—65 marek miesięcznie. Opłaty szkolne: 90 marek w półroczu zimowym i 60 w letnim, książki 80—100 marek rocznie. W razie osobistego zgłoszenia się do redakcyi w godzinach biurowych, przedstawić możemy panu oryginały listów.

Polecamy czytelnikom świeżo wydaną nakładem naszym powieść

Edwarda Bellamy'ego

SPOSÓB D-RA HEIDENHOFFA

Cena 50 kop.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Adres: ulica Niecała
Nr. 12.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedya
Encyklopedya
Encyklopedya

E. H.

Humoru
Humoru
Humoru

Cena tomu opła- Wychodzi mniej więcej
conego z góry 2 rs. w odstępach tygodn.

Wyszedł z druku zeszyt XLVII.

DOSTAWCA DWORU

Cesarsko - Austryjacko - Węgierskiego.



Niszczy grzybek drzewny i osusza
wilgoć raz na zawsze i t. p.
Broszurkę, niezbędną dla każdego
budującego wysłać franco i bez-
płatnie.

Wyn. Inż. Tech. G. RITTER
Królewska Nr. 39.

Młoda nauczycielka z patentem
gimnazjalnym, uniwersyteckim za-
granicznym wykształceniem, dosko-
nałą znajomością języka francuskiego
i muzyki poszukuje miejsca na wsi
na czas wakacyj.

Wiadomość w „Przeglądzie peda-
gogicznym”, Widok 14 od g. 11—3.

Wyszły z druku:

GAWĘDY EKONOMICZNE

Przełożył i uzupełnił

Zygmunt Heryng

str. 118. Cena kop. 30

Jest to popularny wykład całej ekonomii politycznej, dostępny dla
szerokich kół.

Treść rozdziałów: Działalność gospodarza. — Podział ekonomii politycznej. — Wy-
tworzenie. — Przyroda. — Praca gospodarza. — Ilość pracy w społeczeństwie. — Podział pracy
i kooperacja. — Inne warunki wytwórczości pracy. — Kapitał, jego wytwarzanie się i zużycie. —
Podział kapitału. — Podział dochodu. — Renta. — Zysk. — Płaca zarobna. — Zmiany wielkości renty,
zysku i płacy. — Wymiana. — Wartość. — Miara wartości. — Cena. — Pieniądze. — Wartość pieniędzy.
— Pieniądze papierowe. — Kredyt. — Banki i stowarzyszenia. — Stowarzyszenia wytwórcze i spo-
żywcze. — Trades-Uniony: Rycerze pracy. — Stowarzyszenia fabrykantów (kartele i trusty).

**Dzwonki elektryczne, Telefo-
ny, Piorunochrony, Ochronniki przed kra-
dzieżą, według najświetniejszej konstruk-
cyi, urządza w mieście i na prowincyi
pod gwarancyją i najtaniej zakład
optyczny-elektryczny Juliana Drechera
(Szpitalna Nr. 6). Tamże wielki wybór
Okularów, Binokli, Lornetek, Termometrów,
Narzędzi chirurgicznych, drutów, ele-
mentów, przycisków i t. p. PP. mecha-
nikom stosowny rabat. Przyjmuje re-
peracyję.**

DIWANY, wszelkie pokrycia
meblowe, Kołdry,
Kapy, Chodniki,
Serwety, najlepiej kupować w głów-
nym składzie Giełżyńskiego, Mar-
szalska 137.

Są do nabycia w księgarniach dzieła nauk ow
pedagoga Plato v. Reussnera

NAJLEPSZA METODA

do nauczenia się bez Nauczyciela czytać
pisać i rozmawiać po niemiecku w 3-
ch miesiącach, po angielsku w 24
lekcjach. Cena metody niemieckiej kurs
wyższy rs. 1 k. 60. Komplet, t. j. kurs
niższy i wyższy razem, tylko 2 rs.
Metoda angielska z wymową, kurs
niższy k. 75. **Najlepszy Elementarz
Polsko-Niemiecki i Rusko-Niemiecki** z
wymową, z 14 wzorkami pisma i 200
rycynami kop. 35, 30, 20 i 10 (oprawny
kop. 45). **Najnowszy Elementarz
Polski** z 20—40 wzorkami pisma,
rysunków i rycinami (obrazkami) razem
340 Figur, tudzież ze wskazówkami
pedagogicznymi k. 25, 20, 15, 10 i 5.
Powiatki Polsko-Niemieckie 20 kop.
Powieść Ali-Baba i 40 zbrojców 15 k.
Myśliwi Giełż, powieść 10 k.
Na przesyłkę pocztową dopłaca się
do każdego rubla po k. 20.

Skład główny u autora (P. v. Reussnera) ulica
Marszałkowska Nr. 142 w Warszawie.

S. PRZEZDZIECKI

Ceny
umiarłowane.
Wybór
materiałów.

Kotzebue Nr. 2, róg Wierzbowej.
SPECYALNY MAGAZYN
UBIORÓW DZIECIENNYCH

Mandury, Szynel i Bluzy dla uczniów.
Kotzebue Nr. 2, róg Wierzbowej.

SZKICE FOTOGRAFICZNE

z

„Zakulego-Grodu”

przez

Kazimierza Glińskiego

(Dokończenie).

— Ja do garderoby, a pan w okno! — wrzasnęła Marynka.

To rzekłszy, zawróciła się i wpadła do garderoby, zdmuchnęła lampę, a sama padła na łóżko i chrapać zaczęła.

Jakowicz zrozumiał okropność swojego położenia. Chwył za kapelusz i, z siłą otworzywszy okno, jednym susem znalazł się w ogrodzie.

Godzina była ósma wieczorem, gdy Henryk podjeżdżał do swojego domu. Zgaśnięcie nagłe lampy w garderobianym oknie, ruch jakiejś postaci, przebiegającej szybko, o czemś mu niedobrem powiedziały. Nie czekając, aż powóz się zatrzyma, zeskoczył i, otworzywszy furtkę, prowadzącą do ogrodu, biegł w przeciwną stronę domu, gdzie była sypialnia Dosi. W tej chwili, gdy z za węgła się wynurzał, Jakowicz rozpaczliwy skok robił przez okno.

Złowrogi cień nie uszedł uwagi pana Kajetana. Poczł drętwienie skóry na głowie, a ciepło w piętach. Ażeby nie być poznany, obie poły długiego surduta na głowę zarzucił i naprzód pomknął.

Henryk nie poznał, kogo miał przed sobą. W oświetlonym oknie błysnęła mu tylko sylwetka mężczyzny i znikła w cieniach.

Jakiś charkot, jak głos zdławionego ryku czy jęku z piersi mu wypadł. Zrenice zajaśniały blaskiem fosforycznym — skoczył i w kilku iscie tygrysiach rzutach znalazł się tuż, tnż koło uciekającego. Henryka pędziła wściekłość, Kajcia gwałt strach śmiertelny. Sunął naprzód okrutnym jakimś galopem, zaciskając dokoła głowy szerokie poły palmerstona, które, rozdęte powietrzem, przybrały kształt nietoperzowych skrzydeł, nadając Kajciowi wygląd jakiejś bestyi przedpotopowej. Jakowicz leciał marsz-marsz, jak jelen zrywany. Przesadził sześć krzaków róż, przemknął przez krzewy berberysowe, pokrzywy i bodiaki nie stanowią już dlań najmniejszej przeszkody. Mimo jednak nadludzkiego wysiłku czuł zapamiętałą pogoń za sobą. Nagle — wysoki parkan, oddzielający ogród od ulicy, zaczęła przed nim.

— Boże, ratuj! — krzyknął w duchu...

Rozpacz dodała mu sił — Henryk już dopadł, gdy nagle parkan zadygotał i sylwetka mężczyzny na jego zarysowała się wierzchu.

Szybkim ruchem ręki, Henryk dobył z za nadrza rewolweru i strzelił...

Błysnęło!... grzmot długim echem rozległ się w powietrzu — za parkanem dał się słyszeć jęk krótki i ciężki upadek ciała.

Henryk stał chwilę jak skamieniały. Wachlowały mu nozdrza, zgrzytały zęby, szybki oddech piersi poruszał. Chciał skoczyć na parkan, ale sił zabrakło. Zdawało się, że z hukiem rewolwerowego strzału wszelka moc go opuściła. Oparł się o jabłoń, której rozłożyste konary przez parkan na ulicę wychodziły i była chwila, że sam nie wiedział, co czynić miał. Przed oczyma jego wciąż umykała sylwetka mężczyzny, widział konwulsyjne ruchy uciekającego, skoki szalone, nadpowietrzne, lamparcie jakieś. Krew uderzyła

mu do głowy, zacisnęły się pięści, szczęknęły zęby...

— Tchórz!... podlec!... z zdławionej wybiegło piersi!

Poruszył się, chwiejnym krokiem do domu wrócił.

W salonie było ciemno, z garderoby dolatywało chrapanie Marynki, w pokoju Dosi tylko zostawiona paliła się lampka.

Henryk wszedł do sypialni żony...

— A!... okrzyk radosny z ust jego wyleciał.

Wysunięte szuflady, dobyte i pootwierane z klejnotami pudełka, rozrzucone listy, nasunęły mu myśl pocieszającą złodziejskiego jakiegoś napadu. Wiedział, co każda kryjówka zawierała w sobie, w jednej szufladzie leżało kilkadziesiąt dukatów w złocie. Przeliczył pieniądze... i czoło mu się zmarszczyło... były wszystkie! Z rozrzuconych klejnotów, jednego, drobnego nie brakowało nawet pierścienia. W powietrzu się unosił zapach perfum... tych perfum, które udużały go, pozbawiały zmysłów, do szału wiodły...

Czarna chmura zawisła nad czołem. Powietrze nie miało czasu wchłonąć w siebie przed chwilą widać użytych wonności... Piekiło! piekiło! piekiło!...

Wtem, wzrok jego padł na ziemię i dostrzegł kupkę popiołu. Parę listów leżało spalonych. Pochylił się, zdmuchnął popiół białawy i znalazł na spodzie niedogarek z papierosa. Niepokój wzrastał, pocieszająca myśl precz uleciała, stawała przed nim niewyraźna pewność, że... mógł być oszukany.

— Palono listy!... — szepnęła.

Wstrząsnął się, jakby kto kolec żelazny w piersi mu wtłoczył.

— Nie wierzę!... jęknął... Gdybym naocznym był świadkiem zdrady, jeszczebym powiedział... że roję!...

Przegarnął popiół, dobył kilku strzępków niespalonego papieru, lecz nie wyczytał nie można było z tych resztek.

Opuścił sypialnię żony, nie tknąwszy rozrzuconych w nieładzie rzeczy, i chmurny jak noc przed nawałnicą gromowych wybuchów, do salonu powrócił. Zapalił dużą lampę, stojącą na stole, i skierował się do sieni, gdy, nagle, śpiesznie jadąca dorożka zatrzymała się przed domem. Posłyszał ciężki chód Kiryły i szybki, lekki bieg Dosi. Uczuł w piersi coś, nakształt zdrętwienia serca. Wtem, drzwi się otwarły i Dosi z okrzykiem wbiegła do sali.

— Henryku... mój drogi!

Otoczyła szyję jego ramieniem, całowała usta do piersi się garnęła...

Ale Henryk za uścisk, uściskiem nie odpłacił, stał nieruchomy, wargi mu się trzęsły nerwowo, twarzą do drzwi wchodowych się zwrócił.

— Kiryło! — zawołał głosem gromkim.

Dosi spojrzała w twarz męża. — Błady był, czuła, że drżał...

— Co tpbie? — spytała.

— Nie! — odpowiedział jakimś dławiącym się głosem.

Dosi za rękę go chwyciła.

— Henryku! — zawołała z krzykiem prawie.

— Poczekaj... za chwilę przywitam ciebie.

Głos, jakim te słowa wypowiedziane były, przeraził ją. Przytuliła się do jego ramienia, trzymaną w dłoni swej rękę męża do ust podniosła i szeroko otwartymi oczyma, w których się przestrach malował, patrzyła w twarz jego.

— Co tobie?... ty drżysz!

Henryk nie odpowiedział nic, zwrócił się tylko do wchodzącego Kiryły i rzekł rozkazująco:

— Obejdź mi zaraz parkan, otaczający ogród

i jeżeli kogo spotkasz tam, pod jabłonią, której gałęzie wychodzą na ulicę — przyprowadź go natychmiast, lub — przynieś na rękach... gdyby był trupem!...

Kiryło w milczeniu zwykły wypełniać rozkazy pańskie — obrócił się i wyszedł.

Dosi nie rozumiała nic, dreszcz jednak po ciele jej przeszedł, białe ząbki zadzwoniły głośno.

— Teraz ty drżysz! — syknął Henryk...

— Bo coś się tu stało, coś, czego nie rozumiem. Henryku — mój złoty, co to jest?... Po-całujże mnie przynajmniej, przywitaj!...

Podniosła ramiona by szyję jego otoczyć.

Henryk spojrzał w twarz ukochanej kobiety — była tak bladą, jak jej nigdy nie widział. On bladą tę, to drżenie wziął za przestrach z dokonanej winy; tkliwe słowa i te wyciągnięte ramiona, za wyraz obłudy. I przyszło mu na myśl zdanie jednego ze znawców niewieściego serca, że... kobieta najtkliwiej całuje wtędy — gdy zdradza.

Za drzwiami dały się słyszeć kroki Kiryły i czyjeś jeszcze. Dosi chciała pójść uaprzód, ale ją Henryk pociągnięciem ręki zatrzymał.

— Stać tu!... zazgrzytał — za chwilę zobaczysz tego, którego jabym widzieć nie chciał.

— Wytlomacz że mi tę zagadkę! — szepnęła. Henryku — co to jest? Ja cię niewidziałam tak dawno — a ty?... Boże mój!... ty patrzysz jakbyś z sobą przywoził nieszczęście!

Po policzkach jej cicho łzy biegły, przytuliła się do mężowskiego ramienia, z trwogą jakąś w drzwi patrząc, za którymi coraz wyraźniejsze kroki słyhać było... Po chwili jej uszów doleciał stłumiony głos Kiryły.

— Taj niech pan *sia* nie *ocięga*, a idzie, bo kark wezmę...

Widocznie perswadował niechętnie idącemu delikwentowi.

Drzwi się otwarły i prowadzony pod ramię, przez Kiryłę, dumnie spełniającego pańskie rozkazy, wszedł — pan Agapit Pistroński.

Henryk się wyprostował jak struna, patrząc zdziwionymi czyma na czciela Kraszewskiego; nie mniej zdziwiona Dosi spojrzała w twarz męża, szukając w jego wzroku wyjaśnienia zagadki.

— Panie łaskawy! — zajęczał Pistroński. — Czego ten hajdamaka chce odemnie?

— Ja nie nie rozumiem, Henryku — szepnęła Dosi, wodząc oczyma już po mężu, już po wzburzonym nieco z powodu doznanego afrontu panu Agapicie.

— Teraz i ja nie wiele rozumiem — odezwał się Henryk... Co to jest, do stu dyjabłów! — krzyknął rozognionymi oczyma, mierząc Kiryłę.

— Jak pan kazał, tak ja zrobił... Znalazł tego pana pod płotem, taj przyprowadził — odpowiedział zapytany.

Henryk zwrócił się do Pistrońskiego.

— Czy pan przez okno skakałeś?...

— Ja?!

— Na płot się darłeś?...

— Przez okno na płot?... Matko Najświętsza, czego wy chcecie ode mnie?... — zastękał garbus.

— Więc, co pan robicieś — pod płotem?... wrzasnął Henryk, nie mogąc zrozumieć obecności Agapita u siebie.

— Panie łaskawy! ja nie wiem nawet, czy co robiłem. Szedłem z wizytą do państwa Olskich, gdzie, żona pana dobrodzieja być miała, — nagle, w ogrodzie pana dobrodzieja, posłyszałem szum, szelest gałęzi, tupotanie jakieś jakby cieleta się gziły, czy co? Nie miałem czasu zorientować się, jak coś na płot wyskoczyło, potem huk, błysk, trzask i to coś z płotu buchnęło na dół, ale nie upadło, panie łaskawy, tylko pochyliło się i jak mnie palnie

fbem tu—a ja hep na ziemię. Straszna historia, panie dobrodzieju! ażem zajęczał tak mnie tu palnął. Jak długo leżałem nie wiem! Kiedy przyszedłem do przytomności, panie łaskawy, pierwszą moją myślą było, dowiedzieć się, czy są w kieszeni „Jasełka”...

— Kończ pan opowieść—mruknął Henryk...

— Prawda, panie łaskawy... Otóż mac-mac... niema. Zaczynam szukać, aż tu ten hajdamaka nadchodzi i gwałtem ciągnie.—Po co? na co?... słowa nie mówi, tylko ciągnie... Panie łaskawy! niech pan wytłómaczy tak, żeby ten szelma na drugi raz wiedział, kogo napadać ma.

Podczas opowiadania pana Agapita, widocznie coś się rozwidniło w umyśle słuchającego Kiryły. Podniósł brwi, głowę szeroko otworzył, co nie uszło uwagi Henryka.

— Do stu piorunów co to jest?—zawołał Henryk.

Kiryło przyłożył palec do nosa, splunął przez zęby i pomyślałszy chwilę—odezwał się:

— Smiknów pyśmò nosom!... Ce sztuka Jakokońskiego z Marynką!...

— Co?!...

Dosia drgnęła i podbiegła do Kiryły...

— Niechaj sia pani nie stracha, ja zaraz pójdę i jak należy *porzondek* zrobię.

Pokręcił głową i wyszedł z pokoju.

Henryk spojrział na Dosię, która patrzyła w twarz jego z jakimś bolesnym wyrzutem. Tyle było żalu, smutku, ale i słodyczy zarazem i miłości w tym spojrzeniu gołąbki zrąbanej, że Henryk się zachwiał i drżące ramiona do kochanki-żony wyciągnął...

— Henryku—to boli!—szepnęła...

Henryk runął na kolana, drobne, pieszczone dłonie Dosi pocałunkami okładając...

Nie wiele z tej całej sceny pan Agapit rozumiał... ale się rozczulił i płaczem beknął.

Kiryło przez pokój Dosi do garderoby miał iść, ale wszedłszy do sypialni pani, zatrzymał się, zdziwiony nieporządkiem jaki na gotowalni panował.

— Ou-wa! — mruknął... Czy ce ne humańskij dureń z pana Kajetana, co to z cudzego woza na swój *ciahnie*. Ja myślał, że on tylko do Marynki ma *sia*, a ón i do gotowalni pani brał *sia*... Uu-fizyk!

Niedokończył myśli, jak z garderoby, strwożona wypadkami dnia tego, wybiegła Marynka i do nóg mu przypadła.

— Panie Kiryło, Kiryłuniu—milczcie! proszę ja was—milczcie!...—zawołała.

— *Mowczał* ja długo, ale teraz tak *sia* rozgadam, że komu trzeba, to i kości trzeszczę będą—odpowiedział Kiryło z powagą.

Marynka za rękę go chwyciła...

— Panie Kiryło, Kiryłuniu! tu nie było żadnego złodziejstwa — jak Boga kocham, panie Kiryłuniu, że nie było. Jakokowicz chciał tylko list znaleźć, do pani przez jakiegoś kawalera pisany. Proszę ja was, milczcie, milczcie!...

Zaczęła go po rękach całować...

— Idź panna do garderoby, bo łupnę!...

Nagle, krzyk Marynki zabrzmiał w powietrzu. W drzwiach, prowadzących do salonu, stanął Henryk, trzymając w ramionach uśmiechniętą, choć z niestartem jeszcze śladami łez na oczach, Dosię.

— Łajdaki!—huknął...

Pomknął ku Marynce, ale Kiryło zastąpił panu drogę...

— Szkoda fatygi na *ciela* takie—rzekł... To Jakokoński *minister*.—Z *nio* to ja *sia* sam już rozmówię.

Pan Henryk podszedł do Kiryły, położył mu dłoń na ramieniu i patrząc bystro w oczy—rzekł dobitnie.

— Jabym chciał, żebyś ty się z panem Kajetanem rozmówił...

— I owszem!... Jakokoński nieraz do mnie gadał, a ja *mowczał*; teraz ja do niego gadać zaczął, *tylki* nie wiem czy on *mowczyć* będzie.

Marynka, zawodząc głośno udała się do garderoby, Kiryło nastawił samowar, przygotował w jadalnym pokoju do herbaty i do kredensu poszedł. Nie usiadł jednak na tapczanie, by poważnym się myślom oddawać, jak to było u niego we zwyczaju, tylko zameczysty kufer otworzył, wydobyl dziwnego kształtu, bazylikańskie jakieś narzędzie, schował w cholewę prawego buta i wyszedł na miasto.

— Dosiu! — szeptał Henryk, nieśmiało oczyma patrząc w twarz ukochanej kobiety—czy ty mi przebacysz ten ciężki grzech zwątpienia, tę chwilę—bardzo krótką, lecz straszną bardzo, w której obraziłem ciebie, poniżyłem w myśli własnej?...

Pocałunek długi, serdeczny — pocałunek miłości i zgody spoczął na ustach lubego winowajcy... Nie robiła teraz Dosi sekretu ze snu nocy letniej, nie wahała się opowiedzieć mężowi szczegółów zalecanek Jakokowicza.

Po upływie paru kwadransów weszli, szczęśliwi jak dawniej, do salonu, w którym zastali Pistrońskiego, nie wiedzącego, co właściwie miał począć z sobą. Rzecz wyjaśniła się prędko, panu Agapitowi humor powrócił, tymbardziej, że Henryk, czując się w obowiązku wynagrodzenia mimowolnie uczynionej mu przykrości, przez cały wieczór Kraszewskim go zabawił.

— A prawda, panie, „Sąsiedzi?? — fuufu! a „Jasełka”? pi-pil!...—powtarzał Pistroński, ruszając głową i ramiona do góry podnosząc. Nigdy mu tak dobrą herbata, a tak przyjemnym pan Henryk się nie wydawał.

Kajcio Jakokowicz po szczęśliwym przesadzeniu płotu i zwaleniu z nóg wchodzącego mu w drogę pana Agapita, skoczył do Adeli, gdzie też i panią Honoratę zastał, i rzecz całą najszczegółowiej opowiedział. Oczywiście, że według tej relacji, uciekając, nie ze strachu wcale uciekał, tylko tym sposobem chciał pana Henryka upewnić, że nie wszystko dobrze w jego się domu działo.

— Wyobraźcie, świętości moje! — mówił, że tryumf nasz jest zupełny! Na własne przecie oczy widział, że ktoś umykał przez okno. Ja doczekałem chwili, w której wiedziałem na pewno, że on do ogrodu wskoczy. Wtedy mach!... Lękając się jednak, żebym nie był poznany, bo ciągle naumyślnie nawijałem mu się przed oczy, szturchnąłem Pistrońskiego z rozmysłem, a to dla tego, że gdyby wśród cieniów nocy i poznał mnie, lub chciał przez płot zajrzeć—zobaczyłby leżącego pana Agapita.

— Wybornie!—zawołała Honorata.

— Pysnie potwierdziła Adela. Przekonał się teraz pan Henryk kogo za towarzyszkę życia wybrał. Na własne oczy zobaczył, teraz będzie wiedział, co to za ziółko ta pani—Dorota!

— I teraz będzie wiedział—pochwyciła Honorata, że jeżeli my co mówimy, to na pewnym fundamencie mówimy.

— Naturalnie! — wykrzyknął Jakokowicz.— Teraz, to przynajmniej oczom własnym uwierzy. Ale, że mi się udało, to udało!... Prawda, że narażałem się strasznie, pod nos mu się ciągle wsuwając, choć on raz wraz z rewolweru walił—ale jak raz się na odwagę zbierzę... to tygrysy w oczybym skoczył.

— Ja jutro zaraz wpadnę do Doroty — syknęła Adela... Ach—cha! wyobrażam sobie, jak tam słodko jest teraz?...

— Do rozwodu się podadzą!

— Na pewno!—potwierdziła Honorata...

— Dobrze jej tak!

— Dobrze!

— Mężczyzna przez okno wyskakuj!

— To niestychanel!

— Okropne!...

— No! dobranoc wam, świętości moje... Jutro dopiero tryumf!...

— Brylancie! czemuś ty się w Paryżu nie urodził—byłbyś Bonapartem — ni w pięć ni w dziewięć zawołała Adela pompatycznie.

Jakokowicz pobiegł do siebie... myśląc teraz o planach zdobycia upokorzonej Tytanii.

Około godziny dwunastej, ktoś zastukał do jego mieszkania.

— Kto tam?...—zapytał do drzwi podchodząc.

— Ja.

— Kto-ja?

— Kiryło!

— A czego to, serce?

— Na *rozmowu* do pana.

— Z przyjemnością — otwierając drzwi zapraszał Jakokowicz.

O czym mówili i jak długo mówili, trudno wiedzieć! Że gorąca jednak musiała być konwersacja, to nie ulegało wątpliwości. Kaciuchna biegała po kuchni, rwąc włosy i ręce zalamując, wreszcie, widząc, że gawęda się przedłuża, wypadła na ulicę i z wieścią denerwującą „kopnęła się” do pani Wytkańskiej.

Dwie przyjaciółki były jeszcze razem i żywą prowadziły rozmowę, w rozkosznych rozplywając się marzeniach, gdy nagle wpadnięcie Kaciuchny z wieścią przerażającą, pomieściło im szyki.

— Jezus Maryja!...—wykrzyknęły, z miejsc się zrywając.

Nie chciały wierzyć, ale Kaciuchna lamentując, szczegółowo opowiedziała treść rozmowy Kiryły z panem Kajetanem.

Na drugi dzień całe miasto wiedziało o niej. Ratatyński poleciał z maściami, panie, łkając, zajęły się skubaniem szarpi, a Kasper dowiedziawszy się o wypadku, zaraz dnia tego zagabnął Kiryłę.

— A gdybyś to tak z Honoratą porozmawiał—co?

— I owszem! — odpowiedział wiecznie krwi ludzkiej głodny praprawnuk hajdamaków.

— A długo tam z tem się zabawiasz?

— Pan Kacper trzechby nie zliczył i już!

— To bardzo dobrze!... *Bis dat qui cito dat!* Kiryło roześmiał się.

— *Mędrze* pan Kacper mówi: *bisa zadom, taj cyl skazaw*.

W dni kilka zebrała się walna narada u pani Adeli. Bądź co bądź, brylant został na honorze skrzywdzony. Obowiązek obywatelski Zakutego - Grodu nakazał przyjść z pewnym wynagrodzeniem cierpiącemu. Zredagowano list kondolencyjny, Kiryłę odsądzono od czci i wiary, zakończono zaś zapewnieniem, że cześć pana Kajetana nadwyrężoną nie została. Znaleźli się tacy, co położyli podpisy, zaś pan Heliodor Pikorski otrzymał mandat do wręczenia tego dokumentu Jakokowiczowi, ku wieczystej sławie pewnej garstki Zakutogrodzian. Ale cóż? list doszedł rąk Kajcia — lecz rozłożony podatek zaczął nieregularnie dochodzić... Pan Kleofas Sadłowski pierwszy cofnął subsydyjum — nie lękając się już zepsucia swojej reputacji przez Jakokowicza—za nim poszli inni.

W kilka tygodni odbył się ślub Zosi z panem Augustem—ksiądz Anioł młodą parę połączył. Mowę miał piękną, natchnioną; przerywał ją tylko suchotniczy kaszel...

KONIEC.